



№ 48.

Prenumerata w Warszawie:  
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 28 listopada 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-  
sarstwie w osobnych kopertach:  
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

**Treść numeru.** Dzieci góralskie igrające ze światłem (drzeworyt). — Kronika tygodniowa. — Ze świata muzycznego. — Bydgoszcz (z drzeworytem). — Mąż upatrzony, powieść z życia w dwóch częściach, p. Jana Zacharyasiewicza (dalszy ciąg, z czterema drzeworytami). — Przegląd polityki zagranicznej. — Serdeczna troskliwość (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Przegląd teatralny. — Z dziedziny malarstwa i rzeźby. — Uroczą, powieść przez T. T. Jeża (dalszy ciąg). — Dodatek nadzwyczajny: Tajemnica miasta, powieść przez F. W. Hackländera (d. c.)



Dzieci góralskie igrające ze światłem. (Kopia z obrazu Gersona, znajd. się na wystawie Tow. zachęty szt. pięk.)

## Kronika tygodniowa.

Wszak ostrzegałem was, daję słowo że ostrzegałem.

Kiedy już się zaczynała jesień i pierwsze niepogody, przeczulem to wszystko i dałem wam hasło, a wy mówiliście: „on przesadza.“

Gdzie tam przesadza, teraz sami mogliście się przekonać że tak nie było.

Przepowiadałem wam pięćdziesiąt koncertów jeszcze w bieżącym roku; macie ich sto i kto wie czy się skończy na tej okrągłej liczbie.

Co do mnie, doprawdy straciłem już rachunek, bo mi od tej bezustannej muzyki tak w uszach szumi, że obawiam się głuchoty, a nie śmiem nawet, w tym razie przynajmniej, głuchoty uważać za nieszczęście.

Głuchota bowiem wybawi mnie od konieczności przysłuchiwania się tym wszystkim produkcjom muzycznym, które tak zastraszały przybierają rozmiary.

I nie chcę bynajmniej uogólniać tu mojego zdania. Warszawa jest rzeczywiście miastem bardzo muzycznym, posiada wszelkie żywioły na dobry koncert złożyć się mogące; tych dobrych zresztą koncertów wcale nam nie brak (jakkolwiek znajdują się i mniej dobre pomiędzy niemi) ale...

Oprócz kłopotów wyboru, trapi mnie jeszcze i cena biletów, która wydaje mi się trochę zawysoka.

W ubiegłym tygodniu mieliśmy dwa koncerty muzyczno-deklamacyjne, p. p. Świeszewskiego i Sawickiego, a sympatyczne nazwiska tych dwóch artystów wpłynęły na liczne zebranie się publiczności, która szczególnie na drugim koncercie, okraszonym przedstawieniem komedii „Biała kamelia“, wszystkie miejsca zapełniła.

Ogólne sprawozdanie, które ukaże się wkrótce w Tygodniku o grze pani Modrzejewskiej, uwalnia nas na dziś od szczegółowego rozbioru występów tej artystki.

To pewna, że nazwisko jej na afiszu posiada czarowną siłę przywabiania tłumów. Oddawna teatr nasz nie pamięta tak świetnej epoki. Zamykanie kasy przed rozpoczęciem widowiska stało się już rzeczą zwyczajną w każdy dzień wystąpienia tej utalentowanej artystki. Sztuka umiana już prawie na pamięć, zyskuje barwę nowości i zaciekawia.

Wiadomość więc że pani Modrzejewska zaangażowana została na kilka lat, podobno od września przyszłego roku, przez dyrekcję teatrów warszawskich, bardzo miłą była dla publiczności tutejszej. Obecnie za kilka dni, jak nas upewniano, udaje się ona do Krakowa, gdzie przez rok cały ma jeszcze pozostać, aż do upływu kontraktu zawartego z dyrekcją tamecznego teatru.

Siostra pani Modrzejewskiej, również artystka dramatyczna, przyjechała podobno w tych dniach z Kalisza, w zamiarze wystąpienia na scenie tutejszej. Upewniano nas także o spodziewanym przybyciu młodego artysty, który ma debiutować w rolach pierwszych kochanków dramatycznych. W teatrze więc ruch nielada, a jeżeli te wieści nie zawiodą, wzmocnienie zastępu artystów dozwoli scenie teatru Wielkiego współzawodniczyć z teatrem Rozmaitości, który dotychczas trzymał berło pierwszeństwa.

Rzeczywiście dotąd nie mała to była trudność, przy uczeniu się i wystawianiu dramatu w teatrze Wielkim, utrzymać w ruchu repertuar teatru Rozmaitości. Prawda że tych dramatów pojawiało się w ostatnich czasach bardzo niewiele, ale na ten brak wpływała głównie trudność obsadzenia ról pierwszorzędnych, które tu i tam jedni i ci sami prawie artyści musieli obejmować. Bo jakkolwiek towarzystwo artystów tutejszych liczebnie dość wielką ilość członków przedstawia, w rzeczywistości, kiedy idzie o obsadzenie sztuki zasobnej w role, z których każda musi być dobrze odegrana, widoczny brak się okazuje. Można było się o tym przekonać przy

przedstawieniu Zbójców, Narcyza Rameau, Maryi Stuart, a nawet Naszych najserdeczniejszych, chociaż ta komedia wcale nie należy do tych sztuk wyjątkowych.

Choroba jednego lub dwóch artystów, (a wiadomo że w teatrze naszym choroby bardzo często się zdarzają) staje się już nieprzewidywaną przeszkodą w skutecznym rozwijaniu repertoaru. Tak ostatnimi czasy trzeba było zaniechać kilku zapowiedzianych przedstawień i zastąpić je innymi. Ztąd zawód dla publiczności, a dla reżyserji niemałe utrudnienie. Słusznie więc czyni zarząd teatralny, starając się zaradzić niedostatkom, bo tym sposobem rozwiązuje sobie ręce i ułatwia dalszy rozwój pracy. A wiadomo nam że kilka sztuk oryginalnych czeka już na swoją kolej, pomiędzy którymi moglibyśmy wyliczyć prace autorów znanych już zaszczytnie w literaturze naszej dramatycznej.

A teraz pozwólcie czytelnicy, że pogawędzę trochę z wami o kwestyi... wschodniej.

Nie lękajcie się jednak; nie myślę wcale popisywać się przed wami z rozumowaniami politycznymi, wiem bowiem dobrze, że tego gdzieindziej macie do syta.

Dla badaczy ciekawe bardzo zajęcie przedstawia stosunek istniejący pomiędzy różnoplemiennymi mieszkańcami państwa otomańskiego.

Stosunek ten nie tak jest zadowolający, jakby się niektórym zdawało, i doprawdy dziwne nieraz dzieją się rzeczy w tej, pomimo różnych korespondencyj, opisów i t. d., mało jeszcze znanj stronie.

Otóż w tych dniach nadesłano mi wiersz, opisujący dowcipnie rozszalenie przez kadego (sędziego tureckiego) sprawy pomiędzy Muzułmaninem i Żydem.

Tuszę że nie będziecie mi mieli za złe, jeżeli dla urozmaicenia dzisiejszej mojej kroniki, przytoczę wam ten wiersz w całości.

### Sprawa o futro.

Więc posłuchajcie, wielcy i mali,  
Jak sądzi sprawy cny kady Ali.

Raz na jesieni, zgięty we czworo,  
Zjawił się biedny Żyd u Alego  
I tak wyłuszczył skargę z pokorą:  
„Gdym szedł z bóznicy... w noc dnia sądnego,  
Na miejskim rynku napadł mnie zbrojny  
Musr baszybuzuk i wilcze futro  
Zdarłszy mi z grzbietu, uciekł co żywo:  
Ali więc, brodę musnąwszy siwą,  
Rzekł do powoda: „psie! przyjdź tu jutro!“

I jak chciał sędzia, tak się też stało.  
Nazajutrz stali przed jego mocą:  
Żyd zgięty w czworo, z duszą struchlałą,  
I ten, co bywa najśmielszy... nocą.

„Z jakiej przyczyny,“ rzekł sędzia prawy,  
„Odarłeś z futra tego biedaka?“

„Słońce mądrości! to mój wróg krwawy!  
A mego czynu przyczyna taka,  
Że owe wilki, z których jest futro,  
Zjadły klacz moję z złocistą grzywą.“

Ali więc, brodę musnąwszy siwą,  
Rzekł do wezwanych: „przybądźcie jutro!“

I gdy nazajutrz przyszli wezwani,  
Ali, po czterech godzinach myśli,  
Rzekł: „Prorok z wami! moi kołhani,  
Cieszę się bardzo, żeście tu przyśli.  
Wyrok mój dla was taki się znaczy:  
Musr weźmie futro, a Żyd przeklęty  
Dopłaci kiesę złota do klaczy  
I dziesięć kijów dostanie w pięty!“

Śmieszni nam się wydają niektóre zwyczaje dawnych ludów, albo nawet dzisiejszych społeczeństw, mniej niż my posuniętych w cywilizacji. A jednak w zwyczajach takich ileż to nieraz jest poezji, kry-

jącej się pomiędzy różnymi symbolicznymi formami!

Pomiędzy innymi trudno potępić ów zwyczaj pogrzebowy, który z człowiekiem umarłym krył w ziemi wszystko co on za życia kochał najwięcej. Osładzało może chwilę konania umierającemu to przekonanie, iż nawet po skonie zwłoki jego otoczone będą tym wszystkim, co serce umiłowało.

Niedawno zmarł w Warszawie starzec osiemdziesięcioletni.

Wywiał się on z obowiązków życia, tak jak na człowieka prawego i zacnego przystało. Dawszy staranne wychowanie dzieciom, wszczepił w nie zamiłowanie pracy i cnoty, a sam długoletnim trudem zdobywszy sobie niezależne położenie, korzystał z szacunku i miłości ludzkich, które jego ostatnie lata otaczały.

I w tych właśnie ostatnich latach dziwne okazywał on upodobanie.

Ukochał ptaki, hodował ich dziesięcioro, uczył je grać na pozytywce, wołał na nie po imieniu, rozmawiał z niemi, słowem stworzył sobie świat pieśni i skrzydeł.

Śpiów tych skrzydlatych wychowawców był dla niego najmiłszą rozrywką; zdawało się że rozumiał wydzwonione przez nich pieśni, że mają one dla ucha jego znaczenie, które dla innych ludzi pozostaje nierozwiązaną zagadką.

Z niemi i pośród nich nie nudził się nigdy; starczyły mu one za książkę, za zabawę, za towarzystwo.

Zamiłowanie to wyrodziło w nim niezwykłą łagodność w sądach o ludziach i sokratyczną rezygnację w godzinie śmierci.

Stało się więc że pochowany został według zwyczaju u niektórych ludów jeszcze praktykowanego, z całą kolekcją wypchanych ptaków.

Najbliżsi chcieli tym sposobem uczcić ostatnie zamiłowanie zmarłego starca.

Jak się wam podoba sentencja moralna arabska, którą niedawno gdzieś wyczytałem?

„Kiedy wchodzisz do pokoju swojego emira, zamknij oczy.

„Kiedy wychodzisz z pokoju swojego emira zamknij usta.

„A będzie ci z tym dobrze.“

Wiadomo że od pewnego czasu ludzie nauki zaczęli zwracać uwagę na szkodliwość skutków wynikających z małżeństw zawartych pomiędzy osobami blisko z sobą spokrewnionymi.

Otóż w artykule drukowanym przed kilku dniami w Kurjerze Warszawskim, pan Papłowski, dyrektor Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, zwraca uwagę na tę kwestyę, popierając twierdzenia uczonych własnymi spostrzeżeniami, troskliwie zbieranymi, od chwili w której mu poruczonem zostało przewodniczenie tej dobroczynnej instytucji.

W Instytucie warszawskim głuchoniemych i ociemniałych prowadzoną jest księga wpisowa, w której notują się uwagi dotyczące się powodów jakie spowodowały to lub owo kalęctwo.

Otóż znaczna liczba wypadków wykazuje, że wielu z głuchoniemych przyprowadzonych na naukę do Instytutu jest dziećmi rodziców, którzy z powodu blizkiego pokrewieństwa, musieli brać ślub za dyspensą.

Przytaczamy najświeższy fakt, który da świadectwo o innych.

„Niedawno, pisze pan Papłowski, przybył do nas zamożny obywatel starozakonny, prosząc o przyjęcie do Instytutu głuchoniemego syna.

Przy tej okoliczności opowiedział nam jakie go nieszczęścia przez całe życie ścigają. Z siedmiorga dzieci pięcioro umarło zawczesną śmiercią, szóste, najwyższe szczęście rodziców, utonęło, siódme jest głuchonieme.

Po wysłuchaniu opowiadania tego, zapytaliśmy prawie z pewnością oczekiwaną odpowiedzi:

— Pan zapewne żonaty jesteś ze swoją krewną?  
— Tak — odpowiedział — żona moja jest mi cioteczno-rodzoną siostrą.

Nie potrzebujemy z tego wyciągać sensu moralnego; prosimy tylko inne pisma o powtórzenie tego ostrzeżenia. Może się ono komu przyda i niejednych rodziców od przyszłych nieszczęść uchroni.

Zdaje się iż rzecz sama przez się dość jest wymowna, i obowiązkiem byłoby ojców i matek zwracać na nią baczną uwagę.

## Ze świata muzycznego.

To co powiedział Kochanowski o zdrowiu, stosuje się w ogólności do wszystkich strat, jakie człowiek ponosi. Przyjaciel, którego codzienne widywanie uczyniło dla nas prawie obojętnym, którego drobne wady nawet nas niecierpiły, — ten przyjaciel stracony, przedstawia się nam od razu w całym świetle, nawet w aureoli, swych prawdziwych cnót i przymiotów. Drobnostki już znikły; zda się jakby nasz ukochany zabrał je z sobą do grobu, a natomiast to co w nim było szlachetne i nieśmiertelne, błyszcząco trwało i niepożytym blaskiem. Jeżeli tak się dzieje z ludźmi zwyczajnymi, cóż dopiero mówić o geniuszach, których działalność na tej ziemi tak potężna? Śmierć dopiero czyni ich w naszych oczach prawdziwie wielkimi, bo wtedy zapominamy o tym, że i oni, jak my, byli ludźmi, że jak my ulegali drobnym słabostkom ziemskiego żywota. Oddajemy wtedy cześć prawdziwą i bezwarunkową tym wielkim prawdą, które wygłosili słowem lub czynem, tym pięknym dziełom które zostawili.

Rossini dawno już był jakby umarłym dla nas, oddawna już jego Muza umilkła dla świata, a sam twórca tylu niezaprzeczonej znakomitych oper, spędził drugą połowę swego żywota jakby w beczynności, będącej ironicznie niejako zaparciem się własnej przeszłości. Mimo to śmierć jego wywarła wszędzie wrażenie, któremu i my sami ulegliśmy, słuchając kilka dni temu wykonywanych w teatrze ustępów z jego *Stabat Mater*. Zdało się nam, że dziś dopiero oceniamy dobrze całą ich piękność, że dziś dopiero bezstronnie odróżnić możemy w dziełach Rossiniego to, co jako ziemski pył odleci, od tego, co w najdłuższe wieki potomność uwielbiać będzie. *Stabat Mater* (mówimy o całości, a nie o kilku wyjątkach, wykonanych na niedzielnym przedstawieniu) pozostanie zawsze, mimo sprzecznych zdań w tej mierze, dziełem wielkim i pełnym natchnienia. Nie znamy mszy, którą napisał Rossini parę lat temu, a którą za jego życia tylko bardzo szczupłe grono słuchaczy poznało; ale w swym czasie krytyka jednogłośnie przyznała tej pracy charakter poważny i prawdziwie kościelny. Jeżeli to się okaże prawdziwym, mieć będziemy nowy dowód, że Rossini nietylko nie mógł, ile nie chciał napisać *Stabat* w surowym stylu.

Nie możemy i tego zamilcząć, że wybór opery *Cyrulik Sewilski* niedość nam się wydał szczęśliwym, tam gdzie chodziło o poważne i uroczyste uczczenie zasług zmarłego mistrza; wolelibyśmy byli usłyszeć całe *Stabat*, a na zakończenie, zamiast sola na arfę, całą modlitwę z Mojżesza wykonaną tak, jak ją się śpiewa w operze. Wrażenie jakie wynieśliśmy z tak zwaną apoteozą, było takie, jak gdybyśmy na nią przez odwróconą lornetkę patrzyli... Może tak i było — kto wie?...

Koncerta symfoniczne i kwartetowe w resursie Obywatelskiej zaczynają gromadzić liczniejszych słuchaczy. W ostatni poniedziałek zdwojony kwartet Studzińskiego dał nam nowość, która przez publiczność sympatycznie przyjęta została. Był to polonez z Hrabiny, rozpisany na głosy, z podłożeniem właściwego tekstu. Wykonanie było wzorowe. Zasłużone uznanie jakie sobie zyskał ten kwartet, jest tak wielkie, że publiczność lekkie usterki chętnie przebacza. Tak się stało i na ostatnim koncercie, gdzie *chór szkieletów* dlatego był *bisowany*, aby za drugim razem poszedł doskonale, co też i miało miejsce. Inne ustępy wykonane były prześlizgnięciem. Kwartet smyczkowy odegrał wzorowo adagio z kwartetu Beethovena i kwartet *Es dur* Mendelssohna. Przewodowna *canzonetta* tego kwartetu wykonana była pod tym względem lepiej jak u Bilsego, że osta-

tni brał niewłaściwie pędzące tempo. Co do dwóch ustępów z kwintetu Spohra, te były bardzo dobrze odegrane, bardzo rozumne, ale... (drzę na samą myśl tego co mam powiedzieć) wydały nam się... *dość nudne*. Wolelibyśmy w tym miejscu koncertu (a było to w środku) coś lżejszego, np. Mozarta lub Hajdna.

Panna Brzechwianka zyskała olbrzymie oklaski za romans Donizetiego: „Matka i dziecię“ i za mazurka Szopena. My do tych oklasków ośmielilibyśmy się dodać malutką przestrożę, że niektóre intonacje wydały się nam bardziej śmiałe niż czyste, i że mazurek trochę był zaostro i bez wdzięku traktowany. Co nam się głównie podobało, to czucie i nawet zapach, jaki się przebijał w patetycznym romansie Donizetiego.  
*Jan Kleczyński.*

## BYDGOSZCZ.

(Z rysunkami Gersona, podług szkiców Trelewskiego).

Nie minę się pewnie z prawdą, jeżeli powiem, że mało miast w przeciągu lat kilkudziesięciu uległo takiej zmianie, jak Bydgoszcz.

Jak ludzie i rodziny, tak i miasta wzmagają się i upadają, a na ich miejsce występują nieznani dotąd dorobkiewiczze.

Z miast niegdyś słynnych i ludnych, „Kruszwica, gród wspaniały w struktury rozliczne“, dziś jest nikczemną miejsciną, liczącą zaledwie 240 mieszkańców; Gniezno spadło do rzędu miasteczek; Toruń, ów wspaniały gród nadwiślański, liczy zaledwie 10,000 ludności; Gdańsk podupada; Poznań w przeciągu pół wieku szczęśliwego pokoju podwoił zaledwie liczbę swych mieszkańców. Jedyna Bydgoszcz obiecuje stać się miastem wielkim.

Liczyła ona pod koniec zeszłego wieku niespełna 2000 mieszkańców; dziś ma ich około 25,000 i wypredzi prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości stolicę w. ks. poznańskiego.

Połączona kolejami żelaznymi z Warszawą, Berlinem i Gdańskiem, położona ponad spławną przez cały rok rzeką Brdą i nad kanałem łączącym Brdę z Notecią, a tym samym Wisłę z Odłą, rozwinęła handel swój do rozmiarów, jakich Poznań, a tym bardziej inne miasta księstwa nie zaznały. Handel zaś, ów puls życia, kieruje dziś głównie wzrostem i upadkiem miast.

To też obecnie już Bydgoszcz, jakkolwiek tylko 25,000 mieszkańców licząca, przybrała całkiem pozór miasta wielkiego. Widziemy tu wzorowy porządek, dogodne chodniki, oświetlenie gazowe, sale koncertowe, teatr, rozliczne przechadzki i wszystkie tego rodzaju wymysły, któremi się wielkie miasta odznaczają od małych.

Pierwszą dźwignię dał Bydgoszczy Fryderyk II, przez zbudowanie wzmiankowanego wyżej kanału. Za czasów ks. warszawskiego wywyższono ją na stolicę departamentu, do którego należały powiaty bydgoski, chełmiński, toruński, kamiński, wałecki, inowrocławski, Michałowski, brzesko-kujawski, kowalski i radziejowski. Po zniesieniu księstwa, pozostawiono Bydgoszcz miastem departamentowym.

Z czasów dawniejszych historia o Bydgoszczy mało wspomina. Nad Brdą sterczą ruiny starego zamczyska, które na drugostronnej rycinie podajemy. Resztki tej silnej budowli widziałem przed 25 laty, jeszcze o wiele znaczniejsze. Rozbięto je wtedy, by na ich miejscu zakładać ogrody. Mur opierał się gwałtom ręki, tak że użyć musiano prochu, który rozwalął bryłę po bryle. Zaniechano jednak całkowitego zniszczenia, gdy właściciela ogrodu ktoś zdołał zapewnić, że resztki ruiny będzie ozdobą ogrodu, że gdzieindziej dla piękna budują ruiny sztuczne.

Prócz owej stariej ruiny, nie ma Bydgoszcz żadnych starożytnych pamiątek. Z kościołów najdawniejszy farny, którego rycinę podał Tygodnik Ilustrowany w latach poprzednich. Ale i ten kościół nie obfituje w pomniki. Najstarsze z nich są dwa grobowce małżonków Kłossowskich.

Prócz kościoła farnego, pozostawiono katolikom kościół pojezuicki, zbudowany przy rynku i przedstawiony także na naszej rycinie.

W r. 1848 nawiedziła miasto straszliwa burza,

która pomiędzy innymi szkodami zwała z tegoż kościoła wysmukłe przezrocza obu wież.

Klasztor pojezuicki obrócono na protestanckie gimnazjum.

Resztę kościołów użyto na inne cele. Bernardyński, nie wielki ale piękny budynek z 15-go wieku, dostał się gminie sekiarza Czerskiego; św. Klary i św. Idziego zamieniono na śpichlerze, karmelitów na teatr, a św. Barbary na prywatne mieszkanie.

OO. bernardyni osiedli w Bydgoszczy r. 1425. Za zezwoleniem króla Kaźmirza III zbudowali r. 1480 klasztor w dawniejszym ogrodzie zamkowym. Połączono z nim *collegium philosophicum*, a gwardyan Witalis założył nawet obserwatorium astronomiczne.

Równie jak w pamiętki budownictwa, ubogą jest Bydgoszcz i w podania ludowe.

San-Marte, w zbiorze swym powieści i legend, cytując podanie o naszym mistrzu Twardowskim, które zamieścił Joachim Possel, nadworny lekarz Zygmunta III, w manuskrypcie: *Historia rerum polonicarum, ab anno 1388 usque ad annum 1623.*

Mieszkał w Bydgoszczy szlachcic, który przetrwonił całą swą schedę. Zjawia się doń Twardowski. Szlachcic zawiera z nim przyjaźń, wyznaje swą niedolę i błaga o wsparcie. Twardowski daje mu radę, by na odosobnionym miejscu przeliczył 9 monet, od 1-jej do 9-jej, i nazad od 9-jej do 1-jej, aż do białego dnia. Gdy słońce wejdzie, stanie się najbogatszym człowiekiem. Przestrzegając go tylko, aby się nie omylił, gdyż wtedy cała praca będzie bez skutku. Szlachcic usłuchał rady, poszedł do pustej, odległej chaty i liczył 9 groszy w przepisany sposób. Nad rankiem zjawia się Twardowski i pyta czyli się w liczeniu nie pomylił.

Szlachcic zapewnia że nie. „Tedy licz dalej“, rzecze mistrz i znikną. Szlachcic chce liczyć, ale niestety! nie wie na której liczbie przestał. Praca była daremna. Opuszcza więc z rozpaczą chatę, a diabli ścigają wychodzącego, tak że się ledwie schronić zdołał do bernardynów, gdzie na pokucie resztę żywota przepędził.

Z mężów znakomitych wydała Bydgoszcz Seklucjana, a w nowszych czasach słynnego malarza Piotrowskiego, którego pędzla obrazy zdobią ołtarze w kościele farnym i po-jezuickim.

Uczęszczał także do szkół tutejszych poeta Stefan Garczyński.  
*W. T.*

## KORESPONDENCA OD REDAKCYI.

*Panu N. N. w Warszawie.* Rs. 10 dla dzieci po Mściławie K., wręczone zostały podług przeznaczenia.

*Pani Bogumiła w Lublinie.* Artykuł nadesłany wydrukujemy nieco później. Co do poglądu na obecne piśmiennictwo nasze, polecamy pani „Historię literatury polskiej“ J. Bartoszewicza, albo „Kurs literatury polskiej“ Wł. Nerynga.

*Panu St. O. w Warszawie.* Artykułów tłumaczonych Tygodnik z zasady nie zamieszcza. Chciej pan udać się z propozycją swoją do redakcyi Wędrowca, lub innego jakiego pisma.

*Pani Eg. w Kielcach.* Zdarzenie wcale pospolite. Takie rzeczy traфają się codziennie, i znakomity tylko talent wykrzesać z nich potrafi iskierejkę zajęcia.

*Panu A. D. w Petersburgu.* Dziękujemy za pamięć; ale przedmiot dla naszego pisma nieodpowiedni.

*Autorom i autorkom wierszy p. t. „Oddalony“ — „Do mego kanarka“ — „Po zgonie Emilii“ — „Sama jedna“ — „Modlitwa“ — „Moja piosnka“ — „Niedziela na wsi“ — „Zmienność“ — „Ze wspomnień o Ukrainie“ — „Struny moje“ — „Sen“.* Wyszczególnione powyżej utwory drukowane nie będą.

*Panu T. K. w gub. podolskiej.* Rysunek jest wyborny. Zrobimy z niego użytek o ile możność pozwoli najprędzej.

## MAŻ UPATRZONY.

POWIEŚĆ Z ŻYCIA, W DWÓCH CZĘŚCIACH,

przez

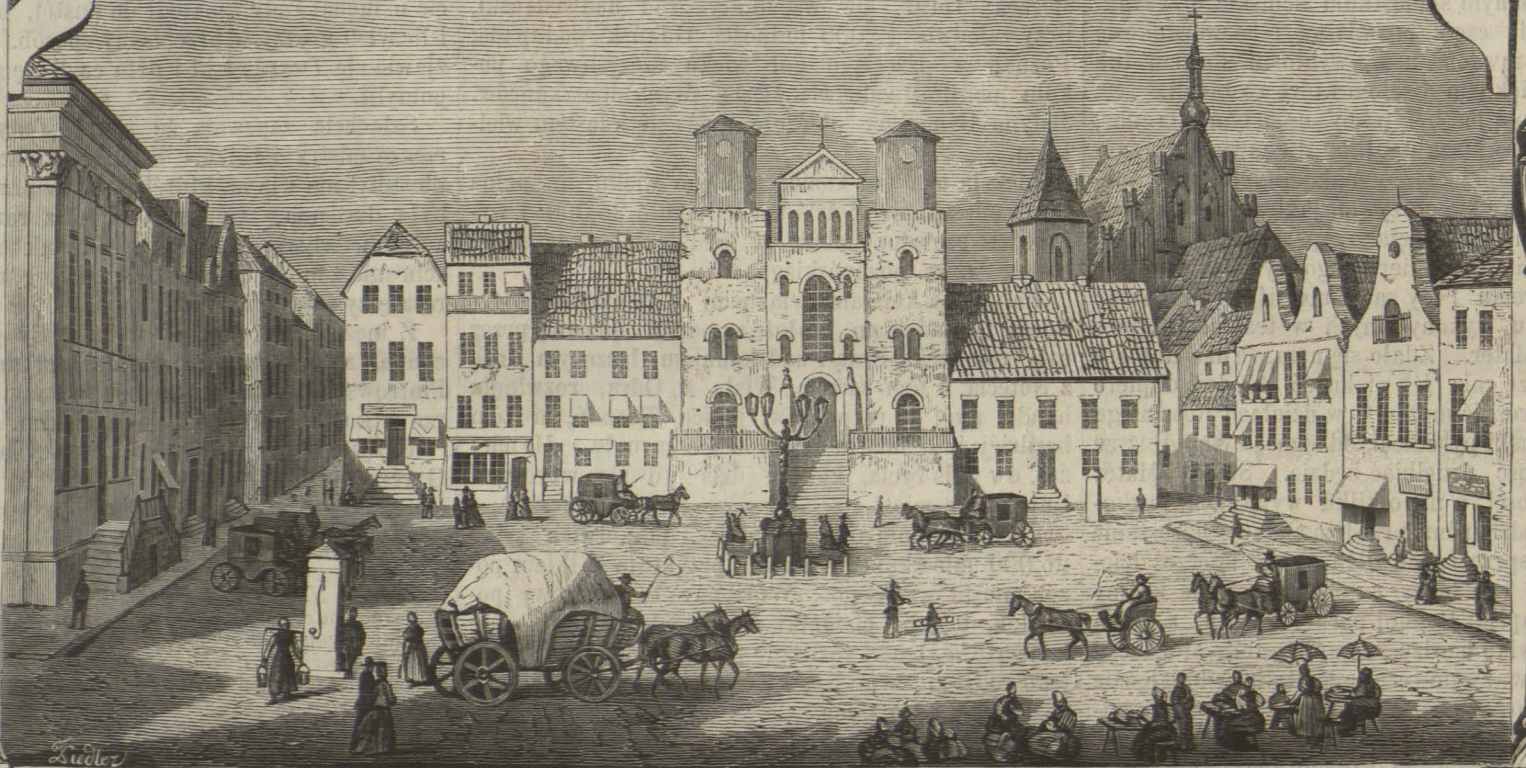
Jana Zacharyasiewicza.

Część pierwsza.

(Z rysunkami Antoniego Zaleskiego).

(Dalszy ciąg).

Siedzieliśmy oboje nadzwyczaj wygodnie. Mogliśmy widzieć całe towarzystwo w pokoju. Fredzio i jurysta stali nam prawie przed oczyma, chociaż trochę opodal. Widać że panna Sydonia, również jak ciocia, rozumie dobrze, co to jest w towarzy-



Kościół karmelitów (dziś teatr miejski) w Bydgoszczy.  
Kościół bernardynów (dziś gminy Czerskiego).

Kościół św. Klary (dziś śpichlerz) w Bydgoszczy.  
Kościół św. Idziego (dziś śpichlerz).

stwie korzystne mieć miejsce. Myśmy mogli patrzeć na wszystkich bez zwrócenia uwagi; na nas zaś nikt nie mógł spojrzeć, abyśmy tego nie zauważyli.

Zrazu mówiła Sydonia z pewnym roztrągnięciem. Oczy jej były często zwrócone na towarzystwo. Bębienie jurysty po szybie także ją widać intrygowało. Ale w końcu zwróciła się zupełnie do mnie i rzekła:

— Pan byłeś w Paryżu, byłeś w wirze wielkiego świata; jak się więc panu to ciche ustroenie podobać może?

Kiedyndziej na takie zapytanie odpowiedziałbym coś ni w pięć ni w dziewięć. Ale na mojem czole spoczywały w tej chwili duże niebieskie oczy Sydonii i zapaliły tam cały mój skromny aparat do myślenia. Sam nie wiem jakim sposobem przychodziły mi myśli nadzwyczajne.

— Pozwoli pani, odrzekłem, że na to zapytanie nieco szerzej odpowiem. Byłaś pani zapewne nieraz na operze i słyszałaś hałaśliwą uverture. Zrazu odzywają się trąby, kotły, basy i cymbały. Głowa pęka od huku i stuku. I tak rośnie i rośnie ten hałas coraz więcej i zdaje nam się że trąby i basy pękać muszą... a tu tymczasem wszystko się nagle ucisza, i słychać tylko flet i skrzypce



Koło mnie siedział jakiś Eskuiap.

poezyi, że ta ostatnia koniecznie wymaga końcówek?

— Tak nie sędzę. Ale przy poezyi przychodzą mi zaraz na myśl rymy i wielkie litery z początku każdego wiersza.

— O, ja lubię prozę, poetyczną prozę!

— A przecież jesteś pani uobobioną poezją, z końcówkami i dużemi literami.

— Może w oczach pana jestem nawet całym poematem.

— Pani jesteś Iliadą, Odyseją, Konradem Walenrodem...

W tej chwili ktoś z gości coś tam głośnieję powiedział, na co Sydonia odpowiadając wstała i do towarzystwa się zbliżyła. Zostałem na kanapie sam jeden i przyznam się cici, że mi się wstać nie chciało. Nie mogłem tak prędko opuścić miejsca, gdzie najpiękniejsze myśli przychodziły mi do głowy. Zdało mi się, że Sydonia jeszcze siedzi przy mnie, że czuję jeszcze ten oddech łagodny, który kwiatom woni mógłby dodać.

Tymczasem ożywiło się nagle towarzystwo. Powstała jakaś sprzeczka, a raczej nowa, niespodziana propozycja, która wszystkich w jakiś niezwykły ruch wprowadziła. Jedni przemawiali za propozycją, inni byli jej przeciwni. Wywiązała się ztąd walka parlamentarna, w której tylko tak zwana większość rozstrzygać może; dla otrzymania więc tej większości, Fredzio zwrócił się do mnie

i rzekł:

— Cóż tam pan wprawiasz się w kontemplacye ascetyczne? Potrzebujemy jednego głosu. Czy pan jest za propozycją?



Służący wszedł do mnie.

— Za jaką propozycją? zapytałem.

— Jest propozycja, aby pójść na staw i ślizgać się na łyżwach.

— Brawo! krzyknąłem, jestem za wnioskiem!

Zrobił się krzyk w całym towarzystwie. Przegłosowani protestowali jeszcze, ale zostali zagłuszeni. Co do mnie, głosując za łyżwami, miałem do tego ważne powody. Najprzód umiem wybornie ślizgać się na łyżwach, chociaż nie wszyscy moi towarzysze byli tego zdania. Pamiętam w Dreźnie bawiliśmy się często w ten sposób. W królewskim ogrodzie, w tak zwanym „Grassgarten“, jest staw przed gustownym pałacem, który August saski dla swoich faworytek wystawił. W zimie oczyszczano ten staw ze śniegu i przystrajano go jak salon. Oświetlenie było rześiste, a blask lamp odbijał się od śniegu i lodu stokrotnie. W takich zabawach zwykle bierze udział i familia królewska, a ja sam pędziłem nieraz przy boku następcy tronu, Jerzego. Była to jedna z najmiłszych zabaw w Dreźnie.

Celowaly w tej zabawie Angielki. Krótko ubrane, w kusym kaftaniku i z dużym zarękawkiem na rękach, przebiegały zgrabnemi nóżkami przestrzeń stawu w najrozmaitszych arabeskach. Było to coś



Sydonia wyglądała cudownie.

z towarzyszeniem violi, które razem tworzą prześliczną harmonią...

— Więc teraz jesteś pan w okresie tej harmonii? zauważyła Sydonia, spuszcżając oczy.

— W samym jej zenicie, odpowiedziałem śmiało i położyłem rękę na sercu, bo mi mocno tć zaczęło.

Widziałem wyraźnie, jak Sydonia przy tych słowach powoli do połowy oczy z ziemi podniosła, patrząc na mnie z uwagą.

— Czy to taka słodka i przyjemna harmonia? zapytała po chwili, a oczy jej stały w jednym miejscu, do połowy rzesą nakryte — czy sprawia ona panu rzeczywiście taką przyjemność?

— Zapytanie pani, odparłem, robi na mnie podobne wrażenie, jak gdyby słońce zapytało, czy przyjemnie ogrzewa nieszczęśliwą ziemię.

— Czy pan nie pisał nigdy wierszy lirycznych?

— Nigdy w życiu, odpowiedziałem, nie rękę jednak od dzisiaj za siebie. Nie byłoby nic dziwnego, gdybym nagle zaczął końcówkami gadać.

— Czyż sędzisz pan, że w prozie niema



Runąłem do stóp Sydonii.

rozkosznego, patrzeć na zgrabne buciki, wypisujące na błyszczącym lodzie różne esy i floresy. Dodajmy do tego oświetlenie czarodziejskie i najrozmaitsze ruchome grupy, przesuwające się lotem błyskawicy tu i tam, podające sobie niekiedy ręce i znowu rozstające się na długo, a będziemy mieli przed oczyma zaczarowany obraz z tysiąca i jednej nocy... Co tylko kiedy nasza fantazyja wymarzyć zdoła, to wszystko widzimy tam w rzeczywistości. Nigdy nie przedstawiała mi się kobieta z większym urokiem, jak na tym stawie zamarniętym. Pochylona naprzód, wdzięcznie płynęła jak fala, jak obłok na niebie, bez żadnego ruchu nóg, tworząc tym sposobem jakieś urocze, nadziemskie zjawisko.

Przyznam się cici, że wspomnienie tej ślizgawki drezdeńskiej zelektryzowało moje nogi. Sydonią widzieć na łyżwach, płynącą po kryształawym stawie! Była to myśl nadzwyczaj szczęśliwa, chociaż dotąd nie wiem kto ją właściwie podał.

Zresztą ślizgawka na stawie przedstawiała dla mnie wielkie szansy. Było to zawsze coś niezwykłego u nas, a przy rzeczach niezwykłych

dzisiaj się nieraz także inne rzeczy niezwykle. Mógł się naprzykład lód na stawie załamać, jak to nieraz wydarza się w Londynie, przyczem paręset osób pod wodę idzie. Sydonii mogło także coś podobnego się przytrafić, a ja wtedy miałbym sposobność poświęcić się dla niej, jak to zazwyczaj czynią bohaterowie romanisu. Zresztą tysiączne inne mogły zajść wypadki, przy których była sposobność okazania się w świetle korzystnym, daleko korzystniejszym, niżeli wśród nudnej, konwencyonalnej rozmowy w salonie.

Dlatego propozycją ślizgawki powitałem z niekłamana radością i już w duchu śmiałem się z jurysty, wyobrażając sobie jak będzie koziołki wywracać na gołym lodzie i całe towarzystwo rozśmiać.

I wzięliśmy się zaraz do wykonania tej myśli. Wszystko nam sprzyjało. U pana Alfonsa znalazły się dwa tuziny łyżew, które przed pięciu laty na jakimś tam festynie z Lwowa sprowadził. Rozebraliśmy je więc między siebie; Sydonia wzięła najmniejszą, z końcami mocno do góry, jak pazurki, zakrzywionymi.

Za godzinę byliśmy już wszyscy na stawie, tworzącym jedną szybę lodu, na przestrzeni kilkunastomorgowej, jakby z jednej bryły ulanej. Można się było przejrzeć w nim jak w zwierciadle.

Sydonia wyglądała cudownie. Miała spódniczkę z grubej, wełnianej materyi. Kaftanik krótki, jasnego koloru, okrywał jej piękną, zgrabną kibić. Ręce otuliła w duży zarekawek tumakowy. Główny jednak efekt stanowiła jej nóżka. Trudno wyobrazić sobie coś kształtniejszego. Pełność i okrągłość tej miniaturowej nóżki mogła skokietować osiemdziesięcioletniego nawet starca... Buciki safiannowe, obłożone skórą lakierowaną, zachodziły wysoko, sznurowane na sposób cizmów węgierskich, a do nich przypasała łyżwy z zadartymi do góry nosami, co, według fizyognomistów, oznacza zawsze niepospolitą ciekawość.

Puściliśmy się w ruch. Zaraz z początku zaczął jurysta tracić równowagę i machał rękami jak wiatrak. Pomógł sobie jednak tym machaniem i przyszedł w końcu do równowagi. Fredzio szedł równo i spokojnie, jak człowiek ze wszystkimi już obyczajami, bez oznaki żadnego żywszego wzruszenia. Pan Alfons naśladował wybornie starego Anglika, obwiązawszy sobie twarz szalem aż po same oczy. Prócz tego miał na głowie cylinder, jaki każdy Anglik, nawet na ślizgawce, mieć musi. Pani Alfonsowa trzymała się ręki starego rezydenta, który szedł przy niej bez łyżew, chociaż to mu było bardzo niewygodnie. Przyszedł jeszcze i ks. wikary, który jednak daleko został za nami, bo co krok upadał i znowu się podnosił.

Zrazu biegliśmy spokojnie, sobą tylko zajęci. Nieprzyzwyczajeni do tej rozrywki, obawialiśmy się wypadku. Ale po jakimś czasie oswoił się z niebezpieczeństwem.

Sydonia tworzyła środek całej grupy. Wszystkie linie wyrysowane na lodzie biegły obok jej linii, lub dążyły ku niej. Gdy sobie teraz to wszystko wyobrażam, przychodzi mi na myśl, że nazajutrz można było na tym stawie wyczytać dzieje dnia wczorajszego, i poznać kogo to nasze słońce ustawicznie do siebie przyciągało, a kogo odpychało i w należytej odległości trzymało. Jasno można było czytać, które linie zbliżały się do linii Sydonii, które ją przecinały i w jakich kierunkach znowu goniły za nią. Zastanawiając się nad tym, widzę dziś na stawie wyrysowany obraz życia człowieka, który biegnie ustawicznie za swoim szczęściem, mija je często, oddala się i znowu z podwójną szybkością wraca, goniąc za nim na to tylko, aby nie doścignawszy go, upadł z rozbitym pierścionkiem...

Linia Sydonii szła po stawie dosyć prosto, i tylko gdzieś tam miała łagodne zaokrąglenia. Była ona naprzód obmyślana. Nie ujrzałem w niej nagłych zwrotów, nigdzie nie łamała się pod kątem ostrym. Inne linie miały mnóstwo zagięć i połamanych zwrotów. Oznaczały one bieganie bez planu, chwilowe wrażenia i zachcianki, którym biegnący oprzeć się nie mógł, a od których wkrótce w inną stronę się zwrócił...

Z początku przy boku Sydonii biegł Fredzio. Rozmawiał z nią obojętnie, śmiał się i dowcipkował. Potem zwrócił się nagle na lewo i jakby dla popisu,

wysunął się naprzód, pędząc lotem błyskawicy. Za chwilę odbiegł dosyć daleko i zakręciwszy, zaczął okrążyć nas szerokim kołem, jak jastrząb czyhający na swoją ofiarę. Sprawiało to nam przyjemny widok i cieszyliśmy się z tego.

Jurysta trzymał się dosyć dobrze na nogach, czego się wcale nie spodziewałem po nim. Sprawiał mi tylko wrażenie, jakby jedną nogą po lodzie chciał bębnić, a nie mógł. Linia jego nachylała się ciągle ku linii Sydonii, ale wkrótce łamała się i odbiegała na bok, z kądem znowu w przyspieszonym biegu zbliżała się do niej.

Co do mojej osoby, trzymałem się drogi pośredniej. Nie zbliżałem się bardzo, ani nie oddalałem. Powodem tego było, że właśnie zaprzątnioną miałem głowę dojrzwawczym w niej planem.

Przysła mi na myśl ciotki, aby w sposób nadzwyczajny dostać się do serduszka panny Sydonii. A czyż mogła być nadzwyczajniejsza sposobność od tej, jaka nadarzała się na stawie, gdzie tanim kosztem można było nawet „osiąść na lodzie“?...

Hej! mocny Boże! Jak to biedny człowiek nie może nawet odganiąć tego, co go za chwilę czeka.

Bądź co bądź, ułożyłem sobie, aby korzystać ze sposobności i w sposób dotąd jeszcze niepraktykowany, a więc nieużyty, otworzyć serce moje przed tą, która zostać miała królową mego życia i dopomódz mi do rychłego spełnienia ostatniej woli nieboszczyka papci.

Przypomniałem sobie, że wybornie umiałem w Dreźnie zrobić ósemkę na lodzie. Jest to figura podobna zupełnie do tej fatalnej cyfry, która na tablicy stoi na ósmym miejscu. Cała sztuka zależy na tym, aby te dwa brzuszki zawinąć jednym ciągiem i od jednego zamachu. Ponieważ to zawijanie odbywa się szybko i w nagłych zwrotach, jest więc i małe niebezpieczeństwo.

Otóż postanowiłem zrobić tę figurę przed Sydonią i po szczęśliwym dokonaniu powiedzieć jej otwarcie, że na takie niebezpieczeństwo tylko za cenę jej serca narazić się mogłem.

Cóż miałem innego wymyśleć, aby dać jej poznać, że niema rzeczy którąś dla niej nie podjął? W romansach zazwyczaj ratuje bohater bohaterkę z jakiegoś niebezpieczeństwa, z narażeniem własnego życia, co potem stanowi dowód, że ją kochał. Ale coż ja w moim położeniu mogłem uczynić, aby przekonać Sydonię o moim uczuciu? Lód, jakby na nieszczęście, był twardy jak opoka i nie zapowiadał bynajmniej załamania się. Nie mogłem więc skoczyć do wody i wydobyć z tamtąd Sydonii wśród mrozu dziesięciostopniowego. Cóż mi więc pozostawało do wyboru? Ha, tylko ta nieszczęsna ósemka!

Przygotowywałem się do niej czas niejaki. Mierzyłem okiem całą przestrzeń stawu i przestrzeń którą mnie od Sydonii dzieliła. Obliczałem astronomicznie bieg każdego towarzysza czy trabanta, ażeby się z kim nie zetknął, coby nie tylko dla mnie, ale i dla drugiego było bardzo niewygodnym. Mianowicie miałem jurystę na oku, którego bieg nieregularny groził mi niebezpieczeństwem.

Wreszcie nadeszła stosowna pora dla mego popisu. Fredzio zakręcił właśnie szerokie koło, pani Alfonsowa z rezydentem pozostała daleko w tyle, a pan Alfons trzymał się zawsze w równej odległości. Sydonia płynęła środkiem, jak królowa systemu słonecznego. Zgrabny jej kapelusik chylił się to na tę, to na ową stronę. Spojrzała czasem na mnie i uśmiechnęła się anielsko.

Uraczony teraz takim uśmiechem, wysunąłem się razno naprzód i lotem błyskawicy pomknąłem ku przeciwnemu brzegowi. Było ważne moment w moim życiu. Stawiałem na kartę dwie śmierci, jedną fizyczną, drugą moralną. Mogłem bowiem upaść i zabić się na miejscu, i mogłem, oświadczywszy się, dostać odkosza. I to śmierć, i to śmierć!

Oddaliwszy się na jakie trzysta kroków, zawróciłem nagle i jak strzała wprost na Sydonię uderzyłem. Widziałem że w towarzystwie sprawiło tonie jakie zamieszanie. Fredzio zwrócił się, nie ukończywszy koła, a jurysta zakręcił nagle, jakby go co w drodze przestraszyło. Jedną Sydonia nie zmieniła swego biegu i płynęła ku mnie z uśmiechem na ustach...

Na piętnaście kroków przed nią zakręciłem nagle jedno i drugie kółko, i już wiązałem ósemkę o dwa

kroki od Sydonii, kiedy równocześnie z dwóch stron otrzymałem dwa uderzenia i straciłem równowagę. Runąłem do stóp Sydonii, aż lód zatrzeszczał, i głową dotknąłem się jej uzbrojonego bucika...

Rozumię się, że w takim wypadku nie mogłem jej nic powiedzieć, bo nietylko ułożone naprzód słowa, ale i przytomność prawie utraciłem. Widziałem tylko, że Sydonia natychmiast przysiadła na lodzie, a koło mnie stali jurysta i Fredzio, od których uderzenie otrzymałem. Mówili mi potem, że chcieli zasłonić Sydonię od mego szalonego natarcia.

Leżałem na lodzie przez kilka minut i nie o sobie nie wiedziałem. Dopiero jakieś ciepło przyjemne, które na czole uczułem, przywiodło mnie nieco do opamiętania. Otworzyłem oczy i ujrzałem pochyloną nad sobą Sydonię, która podany przez jurystę śnieg własną rączką do czoła mi przykładła.

Widok ten byłby niezawodnie znowu zmysłów mnie pozbawił, gdybym w tej chwili nie był uczuł czegoś ciepłego płynącego mi od skroni. Zrobiłem ręką ruch ku głowie i spotkałem się tam z pulchną rączką Sydonii. Trzymała przy mojej skroni białą chusteczkę batystową. Chustka miała ślady krwi.

— Krew! wyrzekłem, patrząc na Sydonię i czyniąc ruch, jakbym się chciał od niej oddalić.

Spostrzegła to i uśmiechnęła się boleśnie. Oczy jej były zalane łzami.

— Krew, odparła z zachwycającym wyrazem na twarzy, krew jest symbolem dozgonnej przyjaźni!

Na te słowa straciłem do reszty przytomność. Słowa te i ten uśmiech wyrwały mi żywocem duszę z piersi i zaniosły ją wprost do nieba. Zaiste, byłem między świętymi i aniołami i przysłuchiwałem się ich pieśni, jaką Boga chwala. Przyłączyłem się do tej pieśni i śpiewałem pełną pierśią, dziękując Mu za szczęście którego doznałem... Patrzyłem z wysokości na ziemię, i żał mi było, że wszyscy ludzie nie mogli być tak szczęśliwi jak ja... Dziwne światło oślniło mi oczy. Takiego światła nigdy przedtem nie widziałem...

W końcu potrzeba było jednak zejść z nieba na ziemię. Otworzyłem oczy. Byłem w moim pokoiku i leżałem na łóżku. Koło mnie siedział jakiś eskulap i okładał mi lodem głowę. Natychmiast zapytałem:

— Jak się ma panna Sydonia? Czy długo tutaj leżę na łóżku? Cóż mi właściwie było?

Eskulap zalecił mi spokój. Powiedział że Sydonia ma się dobrze i że co godzina dowiaduje się o moje zdrowie. Dalej mówił, że już drugi dzień leżę w łóżku i że nic mi nie będzie, gdyż tylko mocno się potłukłem.

Te kilka słów wróciły mi zupełną przytomność. Przypomniałem sobie co się ze mną stało; przypomniałem sobie jej twarz nademną pochyloną, oczy łzami zaszele... Czuję jeszcze na czole jej drobną rączkę, gdy mi lód przykładła, czułem nawet jej oddech gorący, przyspieszony...

Eskulap zalecił mi spokój, widząc że pulsa moje zaczynają bić żywiej. Po chwili przyszedł pan Alfons.

Zapalił cygaro i długo opowiadał mi o różnych okolicznościach zaszłych przy tym wypadku. Mówił iż jurysta dotąd uspokoić się nie może, że przyczynił się do mego upadku. Fredzio również żałował, że pragnąc odwrócić niebezpieczeństwo od Sydonii, był powodem mojej katastrofy. Najbardziej zaś cierpiała na tym Sydonia. Zrazu postanowiła sama pielęgnować mnie przez cały czas choroby. Zaledwie pani Alfonsowa odwiedza ją od tej myśli, dla niej wcale niestosownej. Słowem byłem bohaterem, z taką samą aureolą w koło głowy, jaką zazwyczaj mają bohaterowie romansów. Czegóż więcej żądać mogłem nateraz?

Otrzymałem jeszcze tegoż dnia kilka wizyt. Był Fredzio i jurysta także przyszedł. Podali mi obu rękę, na znak że nie mam do nich żadnego żalu. Oni nie wiedzieli, że właściwie wyrządzili mi największą przysługę. Gdybym bowiem był szczęśliwie ósemkę zawiązał i ułożone oświadczenie przed Sydonią do słowa wyrecytował, czyż byłbym pewny przychylniej odpowiedzi? Czyż prawdopodobnie nie byłbym ujrzał na jej twarzy tego dowcipnego uśmiechu?

ku, którego widokkrew mi w żyłach ścina?... A tak, zamiast niefortunnéj komedyi, odegrałem przed nią najprawdziwszą tragedję i chwyciłem ją od razu za serce. Droga moja do tego serca była tak nadzwyczajna, że nie wiem czy jaki konkurent lub bohater powieści użył jęj kiedy rzeczywicie.

Wypełniłem więc najgłówniejszą radę cioci i jestem pewny, że ciocia ze mnie kontenta. Wprawdzie droga ta mogłaby mnie i na tamten świat zaprowadzić; ale czémże dowieść kobięcie, że się ją kocha?...  
Po południu zostawiono mnie samego, abym mógł odpocząć. Wziąłem jakiś dziennik do ręki, ale niepodobna mi było czytać. Suwałem oczami po wierszach, nie mogąc liter odróżnić. Zamiast nich widziałem Sydonię, jęj uśmiech zachwycający i teprześliczne, duże oczy, łzami zwilżone...

Kiedy tak sobie marzę, słyszę obok ściany, do której przypięrał salonik Sydonii, jakiś ruch i szelest. Wyteżyłem ucho i zaparłem oddech w piersi. Szelest rósł coraz więcej, jakby ktoś co przestawiał.

Wreszcie ucichł stuk i szelest. Nastąpiła cisza głucha. Zdawało mi się, że ta cisza powinna mi coś przynieść. I nie omyliłem się. Powoli przebiły się przez ścianę jakieś smutne, przeciągłe akordy. Potem przez aparat Meisnera przesunęły się pojedyncze tony melodyi i słowa piosenki. Odkryłem ucho i słyszałem wyraźnie:

Tyś serce oddał mi,  
Ja uwierzyłam ci,  
A z nieba patrzył Bóg,  
Gdys u mych klęczał nóg.  
Chceszli więc słowa odemnie?...  
Kocham cię, kocham wzajemnie!...

Dwa ostatnie wiersze powtórzyły się kilka razy. W końcu urwały się silnym, mur wstrząsającym akordem. Poczem nastąpiła znowu cisza, głucha, rozkoszna cisza.

Nie będę opisywał, com podczas tej ciszy prześnił, przemarzył. Nie miałem nigdy wyobrażenia, aby głowa ludzka mogła naraz tyle myśli, tyle marzeń sprodukować. Sydonia otworzyła przedemną nowy świat i zrobiła ze mnie zupełnie nowego człowieka. Nawet kiedy ten list piszę, sam siebie nie poznaję; zdaje mi się że to nie ja, ale ktoś inny ręką moją kieruje. Przypominam sobie że przed dziesięć laty, gdy stoliki się kręciły, a nogi stołowe najrozumniesze rzeczy pisały, wierzone powszechnie iż jakiś duch kierował ołówkiem czy nogą stołową. Otóż zdaje mi się, że jestem jakby *medium*, przez które jakiś duch myśli, czuje, marzy i pisze listy do cioci Euzebii.

Zaiste, gotówem zostać spirytystą i przenieść się do Ameryki. Budzą się we mnie jakieś nowe, czy dotąd uszione talenta. Zdaje się że mógłbym grać na skrzypcach jak Lipiński, a malować jak Matejko, gdyby mi w tej chwili skrzypce lub pędzel dano do ręki... Mógłbym nawet być profesorem gramatyki języka polskiego, chociaż jest rzeczą wiadomą, że żaden bogatszy nasz obywatel ziemski jęj nie umie.

Taką to potęgą dla człowieka jest miłość! Ona stwarza w nim nowe siły i budzi nowe myśli... I mogłaby zaiste stworzyć pół-bogów, jak to ongi bywało, gdyby nie przekleństwo, które ciąży nad ludźmi, od czasu gdy Adama z rajy wygnano... W trzecim liście więcej o tém."

## IV.

Przez dwa dni nie było żadnego listu. Ciocia Euzebia zaczęła być niespokojną. Babcia kładła kabałę i strasznie długo nad rozłożonemi kartami myślała. As dzwonił, który list oznacza, uciekał zawsze od asa czerwionego, który dom przedstawia. Były to nader smutne i pępne wieczory zimowe, przy których nawet karawanowa herbata nie smakowała. Wiatr jęczał ponuro w kominie, a sowa odzywała się często z suchęj gruszy.

Ciocia Euzebia chodziła zamyślona. Twarz jęj była ozywiona, jakby jakieś ważne myśli snuły się po jęj głowie. Czasem uśmiechała się do siebie, jakby była z czegoś zadowolona, a czasem znowu marszczyła czoło, jakby coś szło nie po jęj myśli.

Wreszcie trzeciego dnia nadszedł list od Npecia.

— „Dziwne rzeczy, pisał Npecio, bardzo dziwne rzeczy dzieją się zemną. Nie wiem czy mam się śmiać, czy płakać, czy się cieszyć, czy rozpaczać. Niedarmo dawni pisarze nazwali miłość rozkoszną męką.

Nazajutrz po wydarzeniach w ostatnim moim liście opisanych, spostrzegłem około południa jakiś ruch niezwykły w całym dworze. Nie mogłem jeszcze mego pokoju opuścić, bo lekarz pooblepił mi głowę rozbitymi różnymi plastrami i przestrzegł, abym się nie przeziebił. Nie kazał nawet często mnie odwiedzać, abym nie rozdrażnił sobie nerwów żywszą rozmową. Rad byłem w części tym zaleceniom, bo pragnałem samotności. Zresztą potrzeba mi także było czasu do pisania listów.

Otóż w takim osamotnieniu mojem dostrzegłem, że coś niezwykłego dzieje się koło mnie. Słyszałem krzątanie się po korytarzach; wydawano jakieś rozkazy to służącym, to stajennemu.

W godzinę potem z za ściany doszła mnie jakaś żywa rozmowa. Mówiły dwie kobiety. Jednego głosu nie mogłem poznać, drugi był Sydonii. Głos nieznamy ozwał się:

— Mówię ci, że podobna awantura do niczego nie może doprowadzić.

— Żadnej awantury niema, odparła druga, a to co mówią, jest czystą fikcją.

— Ale już źle że mówią. Kobięta nie powinna nigdy dać mówić o sobie.

— Sądzę przeciwnie. Kobięta o której już nic nie mówią, skończyła swoją karyerę.

— Ależ tym sposobem nie robi się karyery.

Tu słyszałem śmiech zamiast odpowiedzi, ale śmiech prawdopodobnie ironiczny.

— Wszak on to wszystko widzi, i cóż sobie pomysli?

— Jestem dotąd o niego spokojną. Przeciwnie, gdybym inaczej postępowała, mogłabym się obawiać.

— Nie wszystkie serca są jednéj natury. Co jedno przyciąga, to drugie odtrąca.

— Dlatego trzeba to serce zawsze mieć na oku. Trzeba wiedzieć, kiedy się zbliża, a kiedy ucieka.

Przez chwilę trwało milczenie. Wreszcie usłyszałem znowu:

— Ja jednak nie odstąpię od tego com powiedziałam. Karnawał się kończy. Trzeba z niego korzystać. We Lwowie będzie kilka większych balów. Towarzystwo tego roku bawi się dobrze.

— Ja zaś powiadam, że dla mnie najlepiej tutaj zostać. Sercu najmiléj bawić tam, gdzie ono królkuje. Ustronie wiejskie pozwala każdemu uczuciu dojrzeć, a wielkie miasto zacięra je i przygłusza.

— Czy się obawiasz o swoje własne serce?

— Nie obawiam się, ale nie pragnę daremnej i bezskutecznej walki. Jest to tylko strata czasu i... wdzięków.

— Jak widzę, masz jakąś myśl uboczną. Nie wiem czy ona wyjdzie ci na dobre.

— Moja myśl jest ta sama co cioci, tylko odmienną drogą zdążam do nięj.

— Więc dobrze. Zostawię cię tutaj do wiosny. Potem pojedziemy za granicę.

— Nie, tak długo zostać nie mogę. Ale tydzień, dwa tygodnie, a trzy najdalej.

— Ja odjeżdżam dzisiaj, a ty rób co chcesz. Zostań, albo nie zostań, to do twojéj woli zostawiam.

Tu nastąpiła znowu długa pauza. Zdawało mi się że słyszę szlochanie... tak jest, słyszałem płacz. Sydonia płakała!... O mój Boże! Gdybym miał w tej chwili siłę Herkulesa lub Samsona, byłbym jednym zamachem rozwalił ten mur przekłęty, najwięcej na 10 cali grubości!

Z rozmowy Sydonii poznałem, że to ja stanowią tę jęj „myśl uboczną”, o którą posadza ją ciocia. Wszak oczywista, że te łzy i szlochania do mnie się odnoszą... I myśl rozkoszna strzeliła mi nagle do głowy, że Sydonia mnie kocha!...

Sród takich marzeń zastała mnie wniście służącego.

— Tę książkę, rzekł do mnie, podając mi jakiś romans francuzki, kazała panna Sydonia dać panu, gdyż za pół godziny odjeżdża ze swoją ciotką do Lwowa.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## Przegląd polityki zagraniczej.

27 listopada.

Gabinet wiedeński złożył radzie państwa austriacko-węgierskiego zbiór dokumentów dyplomatycznych, za przeciąg czasu jaki upłynął od pierwszego posiedzenia delegacyi. Zbiór ten, nazywany księgą czerwoną, jest rzeczywicie nader ciekawym, zamieszczonem zaś w nim wszystkich główniejszych dokumentów, dozwała czytelnikowi utworzyć sobie mniej więcej jasny obraz dążeń i zamiarów gabinetu wiedeńskiego. Zamiary te i dążności streszczone są nadto we wstępie, widocznie ręką kanclerza Beusta napisanym. P. Beust nie ukrywa sympatyi swęj ku innym niemieckim braciom, cieszy się z manifestacyi strzeleckiej w Wiedniu, lecz zarazem dodaje, że rząd nie wpływał na objawianie tych uczuć i zawsze się starał pozostawać w najlepszym stosunku z Prusami i Związkiem północnym. Wspominając o kwestyi szlezwickiej, gabinet wiedeński zaznacza swoje bierne w tej sprawie stanowisko. Rozwodzi się dalej obszernie nad wszelkimi kwestyami polityki zagranicznej i główny nacisk kładzie na stan Turcyi europejskiej, kędy gabinet wiedeński upatruje rzeczywiste niebezpieczeństwo dla pokoju świata. Z dokumentów tych widać, że stosunki Wiednia z Rzymem są i długo jeszcze będą napężone, dwór rzymski bowiem ani słuchać nie chce o ustępstwach, a gabinet wiedeński z umiarkowaniem, lecz stanowczo propozycyę mu czynionę odpięra. Rozpuszczono w ostatnich dniach wiadomość o podaniu się do uwolnienia p. Beusta i zastąpieniu go przez hr. Andrassy, lecz wieść ta okazała się zmyśloną. Zapewniają że gabinet przedlitawski (dla krajów niewęgieńskich) pracuje nad nowym projektem do wyborów, w duchu centralistycznym, który przedstawionym być ma Czechom i Galicyi do wykonania dobrowolnego, w zamian za ważne ustępstwa autonomiczne. Ciemne te pogłoski wymagają wyjaśnienia i potwierdzenia.

Artykuł Nord. Allg. Ztg. przeczący wieściom o udziale Prus w sprawach rumuńskich, tak rozradował dzienniki francuzkie, iż chwyciwszy się tej skąpej strawy, przeżuwać ją dotąd bez przerwy. Journal des Deb., odznaczający się umiarkowaniem, nazywa ten artykuł „jednym z najważniejszych w ostatnich czasach,” a La France w zachwyceniu wykrzykuje, że taka postawa Prus, Francyi i Austryi wpłynie niezawodnie na gabinet Bratiano. Tymczasem i Prusy, i Francya, i Austrya pozostają uzbrojone, i nic nie zapowiada, aby cósokolwiek w położeniu ogólnem odmienić się miało. Z Madrytu nic nowego. Zdaje się że część stronnictwa republikańskiego przeszła do obozu monarchistów i wraz z tymi ostatnimi popięra ideę monarchii elekcyjnej. Jako pierwszy król wybieralny, nasuwa się z kandydaturą Espartero, który licznym ma stronników, lecz napotyka silnego przeciwnika w Primie. Utrzymują téż, że generał ten zamierza uznać księcia Asturyi za króla, sobie zaś pozostawi regencyą, do czasu pełnoletności monarchy; lecz wiadomość to nader wątpliwa.

W Londynie i w całej Wielkiej Brytanii ludność zajęta wyborami do nowego parlamentu, którego zebranie stanowić będzie ważną w dziejach Anglii erę. Poruszona przez stronnictwo demokratyczne idea reform, nurtując społeczeństwo angielskie od lat kilku, przejawiała się obecnie z całą mocą. Na 482 deputowanych wybranych dotąd, okazało się 314 liberalnych i 168 konserwatystów; a dodać tu należy, że to tylko rezultat wyborów w saméj Anglii, Szkocya bowiem i Irlandya nie przystąpiły jeszcze do głosowania. Takięj przeważnéj liczby liberalnych nie pamiętają dzieje parlamentu angielskiego, i wszystko zapowiada, że na obecne instytucyę, jak: parostwo, pierworodztwo w spadkach, istnienie kościoła urzędowego i t. p. twarde spadną ciosy. Ksiązę Walii z małżonką udał się w podróż i w przejeździe przez Francję, spotkać się ma z cesarzem Napoleonem w Compięgne. Dzienniki francuzkie upatrują w tém dowód ścisłego Anglii z Francją przymierza. (W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France).

## SERDECZNA TROSKLIWOŚĆ.

(Obrazek dyalogowany).

IZYDOR.  
BASIA, pokojówka.  
ROCH, stangret.

(Rzecz dzieje się na wsi).

Salon.—Izydor rozciągnięty na sofie, paląc cygaro, czyta gazetę.

BASIA (wchodzi)

Proszę pana...

IZYDOR.

Cóż powiesz?

BASIA.

Pani leży chora.  
Czy pan każe Rochowi jechać  
[po doktora?  
Wypadałoby złemu zaradzić  
[zawczasu.

IZYDOR.

I zaraz w całym domu naro-  
[bić hałasu,  
Sprowadzić Eskulapa, — a po-  
[tém po leki  
Trzy mile opętane szmigać  
[do apteki.  
Bagatela! — pan doktor z a-  
[pteką wyniesie  
Kilkanaście rubelków!

BASIA.

Mniej  
[pewno zdaje się.

IZYDOR.

Cóż pani jest?

BASIA.

Gorączka i  
[mocny ból głowy;  
Żeby to czasem nie był na-  
[pad tyfusowy.

IZYDOR.

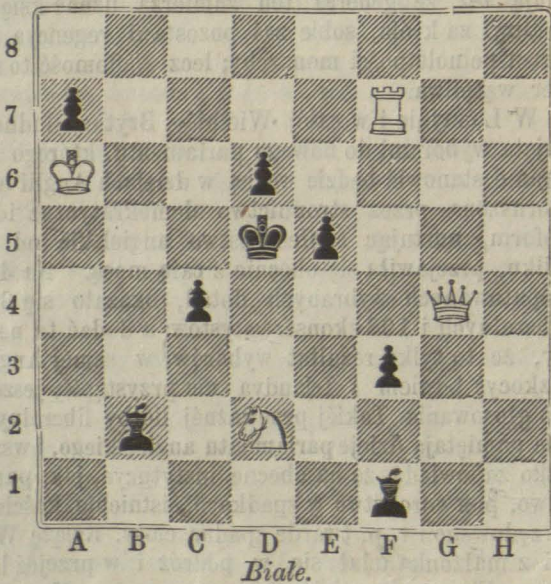
Otóż masz, zaraz tyfus! Wedle zdania mego  
Afekeja kataralna, ręczę, nic innego,  
A conajwięcej z lekką febrą połączona.

## Szachy.

ZADANIE XXXVIII.

Białe zaczynają i dają mata za 4-ém posunięciem.

Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 37.

Białe.

Czarne.

- 1) G8—H6 . . . . . 1) E8—D7.
- 2) F1—D1 † . . . . . 2) Gdziekolwiek.
- 3) Wieża D8 lub D6 † i mat.

BASIA.

Cóż gorszego być musi; pani tak zmieniona,  
Że jęj pewno nie pozna konsyliarz Paschalis.

IZYDOR (z gniewem).

Głupiaś, już powiedziałem: *febris catarrhalis*.  
Aby to złe usunąć, niewielki ambaras:  
Użyć środków domowych, — poco doktor zaraz?  
Przyjdę ja tam, w tój chwili czytam anons banku.  
Niech pani parę szklanek wypije rumianku  
I dobrze się zapoci. Katar niezawodnie.

Jak ten łotr wolno lézie!... Ha! wściekłość porywa!

Możesz odejść.

BASIA (n. s. odchodząc).

Jak on to wszystko przyjął chłodnie!

IZYDOR (do siebie)

Już to chorób kobiecych sam diabeł nie zliczy;  
Zwiększają one źródło małżeńskich słodyczy.

ROCH (wchodząc).

Proszę pana...

IZYDOR.

No, cóż tam?

ROCH.

Kary koń wierzchowy

Jakoś mi się wydaje niezupełnie zdrowy,  
Kasle już od dni kilku i ciągle ponury...

IZYDOR.

Gdyby zdechł... w łeb ci palnę, zapowiadam z góry.  
Było radzić zawczasu.

ROCH.

Niech-no pan pozwoli

Wysłuchać mnie do końca. Dałem gorzkiej soli  
I czystych otrąb pszennych, bo, jak mi się zdaje,  
To pewnie zołzy będą.

IZYDOR.

Serce mi się kraje!

Mój biedny kary!... dzielny szybkobieg Efendi.

ROCH.

Nic mu złego nie będzie.

IZYDOR.

Dosyć tój gawędy!

Pomoc środków domowych na nic się nie zdała.  
Siadaj na koń, pędź wiatrem, sprowadź konowala!

ROCH (ociągając się).

Możeby jutro z rana... nie jest tak naglące.

IZYDOR.

Ruszaj! niema co zwlekać, koń wart trzy tysiące.

(Roch odchodzi. — Izydor wstaje.)

No proszę, z łaski tego hultaja, gamonia,  
Mojego najlepszego mogę stracić konia!  
Tak to o dobro pańskie służba dbała bywa.

(patrzac przez okno)

Jak ten łotr wolno lézie!... Ha! wściekłość porywa!

(wybiega z salonu)

L. Rajszel.

## Przegląd teatralny.

Teatr Wielki. Benefis pani Modrze-  
jewskiej. „Nasi najserdeczniejsi“  
komedia w 4ch aktach Wiktoryna  
Sardou.Formułkowy ten autor,  
chwytający w przelocie rysy  
społeczeństwa francuzkiego  
i fotografujący je dla użytku  
miejscowych teatrów, rozpa-  
noszył się obecnie na naszej  
scenie.Przypisać to należy powo-  
dzeniu, jakiego parę jego  
sztuk (Rodzina Benoitonów,  
Ćwiartka papieru) doznało  
tutaj, powodzeniu które głów-  
nie brało źródło w umiejęt-  
ności kombinowania efektów  
scenicznych i niektórych  
drażliwościach zrecznie przez  
niego wprowadzanych i omi-  
janych, dla których pewna  
część publiczności chętne za-  
wsze otwiera ucho i oko.Drażliwości te jednak w  
Naszyc najserdeczniejszych  
zbytecznie już naprężają  
strunę, i wielka scena uwod-  
zenia, jaką Sardou do każ-  
dej prawie ze swoich keme-  
dy włączyć musi, przybiera  
zanadto Lowelasowskie roz-  
miary.Autor pragnął tu przedstawić cały szereg kłesk,  
jakich człowiek od najbliższych sobie doznaje, uoso-  
biając tę ofiarę przyjaciół w dobrodusznym a krót-  
kowiedzącym Caussade, którego dobra wiara, spokój  
domowy, a nawet bezpieczeństwo życia na szwank  
narażone zostają przez działania „najserdeczniej-  
szych”. Dobrzeby to było, gdyby w tém wszystkiém  
nie leżała prawda względna tylko, gdyby komedia  
przedstawiała typy społeczne, zamiast chwilowo  
zdjętych ze społeczeństwa francuzkiego obrazków.

(Ob. dodatek.)

## Rebus.

NIE  
WSZE

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 47.

Postawa butna i zarozumiata, najczęściej ubóstwa  
duchowego dowodzi.

(Dodatek.)



Sztuka ta cieszyła się w Paryżu niemal powożeniem, i nie dziwię się temu, sam język bowiem i otrząskanie się publiczności tamecznej z pewnymi wyjątkowymi położeniami, które scena na korzyść(?) swoją konfiskuje, nadają się ku temu.

Ale u nas znika nawet ów drobny odcień prawdy społecznej, znajdujący tam odbicie dla siebie, a tłumaczony miejscowe dowcipy, tracąc na lekkości giętkości, nieraz zbyt szorstko wpadając w ucho.

Niechże bowiem owo wyrażenie „grand Dandin“, które o mało nie powoduje pojedynku pomiędzy Caussadem a sąsiadem jego, zechce kto przetłumaczyć po polsku, zachowując mu znaczenie, które musi być ogniwem i wyjaśnieniem dalszego biegu sztuki.

Tłumacz zastąpił to wyrazem „dudek“, który nie maluje, i doprawdy nie mógł może inaczej uczynić, a takich niedokładności, począwszy już nawet od samego tytułu sztuki, który niewiernie myśl autora odwzorowuje, mnóstwo byłoby przytoczyć mogli.

Otóż jesteśmy zdania, że to co dokładnie na nasz język przetłumaczyć się nie da, będzie zawsze i niewłaściwym dla nas. W mowie istnieje pewna konieczność filozoficzna; czego w niej niema, tego i w społeczności nie szukać. Jeżeli istnieli lub istnieją u nas „Dandinowie“ Molirowscy, inaczej się przedstawiają niewątpliwie, a nawet „Naszych najserdeczniejszych“ według odmiennego tutaj przedstawiaćby trzeba wzoru.

Bo *serce* u nas ma inne znaczenie niż we Francji, obszerniejszy jego zakres, różnostronniejsze działanie.

Taki naprzykład charakter kobiety, jak żona *Caussada* przedstawiona przez panią Modrzejewską, byłby tutaj trudnym trochę do odszukania. U nas usposobienia więcej biernie, nie rozpromieniają się od razu tak namiętną żądzą zakazanego owocu; u nas krew zimniejsza. Ewa, nim sięgnie po jabłko zakazane, namyśli się trochę, choć prawda że jak raz już ugryzie, to gotowa do nieskończoności bankiet posunąć; ale wówczas, jak Korteż, popaliła już okręty za sobą i przyjęła na siebie rolę wyjątkową.

A nie wyjątki przedstawiać należy w komedii.

Bądź co bądź, taką panią *Caussade* jaką chciał mieć autor, pani Modrzejewska wybornie oddała. Przyjęta przy pojawieniu się na scenę oklaskami i bukietami, doznała oczywiście dowodu sympatii, jaką przez szereg dotychczasowych występów potrafiła zdobyć sobie u publiczności tutejszej, sympatii usprawiedliwionej wyjątkowym talentem, któremu zadziwiający, ze względu na tak młody wiek artystki, wyrobienie sceniczne w pomoc przychodzi. Zdaje nam się jednakowoż, że charakter na swojskim tle osnute, jak n. p. Aniela w *Ślubach panieńskich*, lub nawet *Cecylia* w *Pannie mężatce*, stanowią dla pani Modrzejewskiej najulubieńszy przedmiot studyów i najwłaściwsze do tryumfów scenicznych pole. Dlatego radzibyśmy ją najczęściej widzieć w kreacjach tego rodzaju, lub nareszcie w poważnych dramatycznych rolach, w których niewysłowiony wdzięk niewieści i subtelne cieniowanie, jakie artystka posiada, potrafi wypełniać i ożywiać prawdą efekta scenicznego, niezwyklej nawet siły wymagające.

Tak w roli pani *Caussade*, jak i w innych zwrócić głównie należy uwagę na wyborną grę rysów artystki, która do najdrobniejszych szczegółów, wypełnia przedstawiany przez nią obraz.

Główna rola *Caussada* znalazła w p. Rychterze arcywymownego tłumacza. Dla artysty naszego wybornie się nadają takie dobrodusze charaktery, przechodzące niekiedy tylko w dramatyczność. Zmiany te odbywają się niespostrzeżenie, bez wysilenia żadnego, a jednak czuć w nich prawdę, z umiejętnego patrzenia w życie zacerpniętą.

Konieczny moralista nowocześniejszych komedii francuzkich, doktor *Tholosan*, znalazł dokładne uplastycznienie w grze p. Królikowskiego, który wypełnił prawdopodobieństwem i ożywił nowymi rysami ten powtarzający się ciągle charakter.

Pan Świeszewski, jako zręczny uwodziciel, usprawiedliwia najdrażliwsze nawet chwile, a wybornie obmyślanym przeprowadzeniem krytycznej sceny trzeciego aktu, w czym mu estetycznie wymiarkowana gra pani Modrzejewskiej przeważnie w pomoc przychodzi, modyfikuje, o ile to się dało zrobić, zbyt jaskrawy obraz.

Rolę *Marescata*, która podczas przedstawienia *Naszych najserdeczniejszych* przez francuzkich aktorów w Warszawie, w umiejętniej grze *Ravela* na pierwszy plan wyszła, mniej szczęśliwie oddał pan *Chomiński*. Utalentowany i sumienny ten artysta, któremu scena nasza winna jest tyle komicznych charakterystycznych kreacji, przystroił w zbyt jaskrawe barwy tego złośliwego nudziarza i tetryka. *Marescat* zawiele się rusza, a zamało działa rzeczywiście. Forma zaszkoziła treści.

Zasłużone pochwały należą się grze panów *Sawickiego* i *Grzywińskiego*. Obaj ci artyści sumiennie pracują nad postępem w sztuce, który też zupełnie odpowiada ich usiłowaniam.

Panie *Ostrowska* i *Sawicka*, panny *Gilska* i *Urbanowiczówna* dobrze oddały drobne swoje role.

*W. Szymanowski.*

## Z dziedziny malarstwa i rzeźby.

Znajdujący się obecnie na wystawie najnowszy obraz *Matejki*... Ale czyż zawsze i koniecznie od *Matejki* rozpoczynać mamy? Weszło to już w nałóg, bardzo zresztą usprawiedliwiony, ale czy nie posuwany aż do słabości? Zważywszy jednak że tu z nielada siłą roboty, to dla świętego spokoju, choćby się przyznać przyszło do uległości w obec przemocy, czy i tego niedość do uzyskania odpustu? I zresztą, sprawozdawca jest koniecznie do pewnego stopnia sługą publicznych wymagań. Jak ów kaznodzieja, któremu, słusznie czy niesłusznie, powiedziano niegdyś: mów nam zrazu rzeczy przyjemne, jeżeli chcesz żebyśmy ci w nieprzyjemnych ufali, — tak człowiek wszedłszy na salę wystawy, mimowoli studyje ogół, z którym mu przyjdzie mieć do czynienia. Mówimy tu nie o owych powinowactwach z wyboru, cenionych na złotówki w dniu powszednie, ale o owych tłumnych wycieczkach artystycznych w niedzielę, w których z tak porywającą siłą występuje cała popularność dziesiątki. Do czyjego to obrazu ani sposób dopchać się wtedy? Przypiszecie to nadprzyrodzonemu urokowi uznania w Paryżu, imponującym wspomnieniem wystawy powszechniej, i wreszcie chęci sprawdzenia, za co też tam w tym raju ziemskim dostać można było medal złoty? A ja wam odpowiem na to *Janem Kazimierzem*, *Urszulką*, lub *Stwoszem*, o których przecież ani jeszcze wiadano w stolicy świata.

Malowidła *Matejki* jedne mają to do siebie, że ich nikt nie szturga końcem laski lub parasolką; przypuszczam nawet, że gdyby ten człowiek szczęśliwy rzeźby robił, im jednym może nie posmolonoby nosów. Zdaleka zaraz szanować się każe. A tylu ma stróżów swego dobra, ilu tylko znajdziesz w poczciwej Warszawie ludzi serdecznie ciekawych. Przy innych obrazach, to aż miło. Spotkasz się ze starym znajomym, — tyle macie sobie do powiedzenia! Stajecie tedy plecami do malowidła i nuż gawędka. Trącają was, depczą, popychają, — co tam — coś podobnego zdarza się także na najciaśniejszym chodniku, a niemniej człowiek wystoi swoje. Jakże inaczej przy obrazach *Matejki*! Za ledwie z westchnieniem pocznie mówić o drogości mieszkań, za ledwie wspomniesz o świeżo nadeszłych do *Pękali* przesłicznych *ubrańkach* na głowę, lub świeższych jeszcze zachwytach *Alkazaru*, aliści zaraz odzywa się ktoś z boku: Państwo już obejrżeli widzę, mocno przepraszać. Teraz niech i ja też coś zobaczę.

Tedy jakże się tu nie ukorzyć w obec podobnie natarczywego uznania? Przecież vox populi... ale dajmy pokój łacinie. Na ten raz ochota nas bierze własnemu nałogowi zrobić na przekór. Poszukajmy, może się też co znajdzie piękniejszego, może choć równie pięknego jak *Matejko*. No, jużżiś *Brandt* na przykład, to także sława nasza niemała. Cóż mówicie na jego *bitwę pod Chocimem*? Co za ruch, jakie życie, jaki tętent, wrzawa! Obraz ten nierównie jeszcze dzielniej działałby na zmysły, gdyby nie niepożbyte wspomnienie *Pochodu pod Tarnopol*. Tamto wykonane było ze szczególniejszym gwałtem natchnienia. Była jakaś dzika, nieukrócona energia w całej tej sprawie wziętej pod pędzel, jakby pod doraźne naoczego świadka słowo; coś niby z rubasznych, a tyle

malowniczych starego *Paska* opowiadań „tego tam haniebnie poczciwego człeka.“ *Zalany słońcem*, pchnięty w przestrzeń, tłum różnobarwny spieszył tam gorączkowo, ruszał się w oczach, następował z przodu, topniał w oddali. Pilno ci było patrzeć na to wszystko, z obawy że lada chwila tużmany kurzu przesłonią widok cały. *Rozpasana* werwa porywała z sobą, unosiła gdzie jęj się podobą, nie dozwalała zastanowienia, sama też niewiele o nie dbając, a raczej tyle tylko, żeby nie obrażała elementarnych zasad sztuki. *Bitwa pod Chocimem*, owoc głębokiego namysłu, całkiem już inne, bo o wiele chłodniejsze, obudza wrażenie. Mówimy to bez najmniejszej ujmy świetnemu zadaniu, któremu też z całym wyczerpaniem środków podołać tu potrafiło. Chcieliśmy tylko bliżej oznaczyć stopień porozumienia się dwóch stron, z których druga tyle tylko odebrać może, ile pierwsza daje. Niewątpliwie, powaga tu wielka, tak jak i sprawa niepospolita; ale jest może za dużo uroczystego nastroju. Bądź jak bądź, obraz ten godnie stoi na wysokości szlachetnego historycznego opowiadania, — czyż podobna żądać więcej? Malarz wystawił chwilę, kiedy wielki hetman buławą wskazuje kierunek stanowczego natarcia. Od prawej strony z kopyta pomyka konnica, z lewej pośpieszają muszkietnicy. Przednie te plany są przepyszne. W dali wre bój w tumanach pyłu przepędzanych wiatrem. Bliższemu rzeczy określeniu braknie tu może *Karakasza* i zdobycia sultańskiej chorągwi; ale co prawda, tak już śmiertelnie nadużyto nieraz wszelkiego rodzaju wezryłów, baszów, namiotów, buńczuków i bułatów, że wstrzeźliwość w tym miejscu raczej za zasługę policzyć należy. I zresztą, szczegół podobnej wagi mógł rozerwać jedność działania, której tu pilnowano z całą surowością akademickich tradycji.

Obok tej wielkiej, ściśle historycznej kompozycji, niedawno temu, mieliśmy sposobność oglądać inne jeszcze tegoż mistrza malowidło, obecnie usunięte już z wystawy. Niewielki to był obraz rozmiarami, ale pełen treści. Byli znawcy, co go bezwarunkowo cenili wyżej od *bitwy chocimskiej*. Zdanie to, nieco, jak mniemamy, przesadne, wykazuje wszakże całą niepoślednią wartość tej drobnej z pozoru roboty. Rzeźczywiście, wszystkie zalety malarza, a jest ich niemało, potęgowały się tam w sposób godny podziwu, nawet tym godniejszy, że sam przedmiot niezbyt wiele ku temu podawał materiału. Mówimy tu o ustępie z *Pamiętników Paska*, który opiewa: „jako pewnego razu towarzyszący jego w niewielkiej mieścinie inflanckiej przeznaczono nazbyt szczuple kwatery, tak że aż musieli obozować na ulicy.“ Odrazu kłopot tu niemały: pod jaką kategorią podciągnąć obrobienie podobnego przedmiotu? Rzecz tyle pełną uroków rysunku, perspektywy, ruchu, wdzięków kolorytu, wykończenia, ani sposób zbyć nazwą zwyczajnej sobie ilustracji. I także jak tu rodzajowym nazwać obraz, którego treść nie sięga, jako żywo, niczyjej pamięci; a znowu, gdyby miał być historycznym, czyżby potrzebował całej karty objaśnienia?

Miejsce tu podobno, z tegoż samego powodu, wspomnieć także bardzo wdzięczne zakątki obrazki p. *Pilatego*, noszące nazwy to: „*Przybycia na kwatery za czasów saskich*“, to „*Szwedzkiego biwaku*“, to wreszcie „*Wyjazdu*“ na jakieś nie dzisiejsze polowanie, jak również niejednokrotnie już oceniany przez nas „*Jarmark w Habelszwerdzie*“ *Kossaka*. W tym ostatnim jednak subtelna *Hogartowska* ironia całkowicie przechyla szalę na stronę rodzajową, mniejsza już bowiem gdzie się to dzieje i kiedy, skoro myśl artysty zaraz na pierwsze spojrzenie z całą jawnością wyrozumięć się daje. Ostatecznie jednak cóż po tym, jaką nazwę nadać pewnej formie wcielenia myśli? główna rzecz czy jest myśl i jak wyrażona. Ze bywa czasem dowolna, cóż to komu szkodzi? Nazwijmy rodzaj podobny fantazją; małoż jęj w poezji, w muzyce? niechże sobie zdrowa gości i w malarstwie, skoro jęj z tym do twarzy. A właśnie nieinaczej rzecz się ma z „*Obozowiskiem w Harthusen*“. Obraz jest piękny co się zowie, tyle nawet piękny, że już wprost od niego przejść się godzi ku *Matejce*.

Oto *Władysław Biały* księżę na *Gniewkowie*. Proszę, co za buta! Ale widziałże świat drugiego podobnego pędziwiata? O sprawkach tego książątka

zapisalby skórę wołową, a byłaby to dopiero pierwsza stronica. Bywał na wozie i pod wozem, co prawda, częściej nierównie na spodzie. Ale bo też na najwygodniejszym siedzeniu miejsca zagrazać nie umiał, zaraz go coś podrzucało, porywało, w świat wypychało, nosiło na wichrach. Podobnie niespokojne duchy spotykasz tylko w błędnym średniowiecznym rycerstwie. Wiecznie utrapiony, nigdy nierad z niczego, bezustannie tylko tłukł się po świecie szerokim, jak legendowy Marek po piekle, drugim spokoj kłócać, sam go też ani na chwilę nie zażywszy. Czy, jak powiada Adam, „był już takim z przyrodzenia, czy stał się z wiekiem?” Otóż ani jedno, ani drugie. Na początku jego drogi, widzimy go najspokojniej panującego wojczystym, wcale małym Gniewkowie. Wprawdzie „w skromnym onym staniczku” posiadał natędy żonę, którą kochał „niewymownie” — jak się wyraża bezimienny jego kronikarz, archidyakon gnieźnieński. To co dalej powiemy, zakrawa na romans, trudny trochę do uwierzenia w naszym wcale nie łatwoiernym stuleciu; dlatego zwracamy się wprost ku czytelnikom, pewni choć z tej strony pobłażania. Żonę tę ukochaną straciwszy, rozteścił się, nabrał wstrętu do świata, i osamotniał, nie umiając już wytrzymać dłużej w miejscu przypominającym mu tyle boleści, sprzedał królowi księstwo swoje za 1000 zł. (wprawdzie czerwonych, ale zawsze tylko za tysiąc, księstwo całe) i wybrał się pieszo w pielgrzymkę do grobu świętego. Od tej pory rozpoczyna się szereg najdziwniejszych przygód tego rozkołysanego smutną fantazją ducha. Znał spotykamy go najniespodziewaniej goszczącego wśród ogłuszających zbytków cesarskiego dworu w Pradze, ażci, ni ztąd ni zowąd znowu, walczącego na zabój w obozie krzyżackim z litewskimi Prusaki. Dalej widzimy go powtórnie pątnikiem do Awinionu, kędy się była przeniosła Piotrowa stolica; następnie zostaje cystersiem, i niespełna znowu w pół roku benedyktyem. W tym miejscu wkraczamy w okres jego życia o wiele przynajmniej realniejszy od poprzedniego. Pogrzebanemu żywcem w ciszy klasztornej, do której zapewne niezbyt sobie dostroił ducha, niespokojnemu z wrodzonych skłonności, a nie mającemu innych pociech w życiu, z świeżo zaszłą właśnie pod owe czasy śmiercią Kazmirza Wielkiego, snadź uśmiechnęła się znowu władzy pokusa. Był istotnie najbliższym krewnym zmarłego króla, liczył też i stronników trochę, którzy go ku temu podmaślali. Jestto właśnie chwila, którą na obrazie swoim uwiecznił Matejko. Symbolistyka tego malowidła na pierwsze wejrzenie wypowiada całą sytuację. Wyniosła postawa pokutnika, wcale nie harmonizuje z surowym otoczeniem klasztornej celi. Z pod mniszej szaty wyglądają mu rękawy światowego ubioru. Płaszcz ksiądzęcy, porzucony niby z pewną pogardą, niemniej znowu przecież lada chwila na barki wdziany być może. Zdaje się to nawet dziwnie niedalekiem. Tylko co odebrał pismo zapraszające go do powrotu. Obwieszona jest trzema pieczęciami, zapewne mieszczańcami godła trzech jego stronników: Przedpełki ze Stęszewa, Wysoty z Kurnika i Stefana z Trłaga. Przeczytał już, a jednak trzyma je dalej, dumając. Jednocześnie kusi go z boku dworzani, ukazujący mu miecz gotowy do przypasania. On się odwrócił, zacisnął usta, widocznie walczy sam z sobą. Ale zarazem z rycerską butą nastąpił nogą uczone księgi, które mu dotąd jedynym towarzystwem były w długich dniach samotnych rozmyślań. Nieco też opodał, podobny jemu więzień, ptak ulubiony, spostrzegłszy przetwarte okno, sposobi się do odlotu. Myśl ta symbolizuje mający się zrobić przełom w postanowieniu księcia. On także, upatrwszy w szyby sposobność, wyfrunie, szukać dalszych przygód w świat szeroki, co też i uczynił niebawem. — Reszta życia tego dziwnego człowieka, jakbądź przekracza już zakres niniejszego przedmiotu, dla charakterystyki jednak wieku swego, warta jest jeszcze dopowiedzenia. Nie mogąc uzyskać w Rzymie zwolnienia od ślubów zakonnych, poróżnił się ze stolicą apostołską, — a tymczasem też i Ludwik zasiadł na Piastów tronie. Władysław, nie dając za wygraną, wpadł do kraju, wicherzył tu i owdzie, i wreszcie odbił orężem dawne swoje księstwo. Tu usadowił się w ulubionej sobie Złotoryi, gdy mu się już powodzenie przykrzyć zaczęło, oddał ją znów dobrowoli Bartoszewi z Weisborka, królewskiemu sta-

roście. Dla ocalenia jednak czci rycerskiej, złożył się z nim na ostre w bramie zamkowej, gdzie też i otrzymał dość ciężką ranę w prawe ramię. Ztąd prosto udał się na Węgry. Tam raz jeszcze wdział kaptur mniszy, i przysiedziawszy nieco fałdów, został wkrótce opatem. Dalej powtórnie sprzedał swoje księstwo, ale już za cenę 10,000 dukatów. Po czym dość już mając opactwa, osiadł próbować świeckiej dewocyi w Lubecie, zwaną jeszcze naówczas Bukowcem. Wreszcie, doczekawszy tam śmierci Ludwika, wrócił wicherzyć znowu w kraju...

Ale czas już może i skończyć z tym warcholskim żywotem, — wróćmy do obrazu. O Matejce mówiąc, zbytecznym byłoby wykazywać zalety jego utworu. Nie jest on w niczym niższy od innych, w wielu względach nawet przenieśliśmy go nad niektóre, mianowicie z przyczyny skromności środków, zwyciężko podpierających niemałe zadanie. Raczej z obowiązku krytyka, bezwzględnie nie chcąc być apologetą, poprobujmy koniecznie upatrzeć jakie plamy na tym słońcu świetnym. Co prawda, duszno jest trochę na tym obrazie, jak zwykle bywa u Matejki. To skąpstwo przestrzeni tym dotykaliem razi, ile że tylko dwie osoby wypełniają przedmiot cały. Dzieje się to wprawdzie w dość szczupłej mniszej celi, ale i w kącie najciaśniejszym powietrze krąży. To zaniedbanie w odpychaniu głębi tak uparcie powtarzaniem widząc, mimowolnie przychodzi się do przekonania, że to chyba sprawa rozmyslna. Niepodobna bowiem z dobrą wiarą przypuścić tej jedyniej, a tak podrzędnej ułomności, u takiego mistrza w środkach technicznych, jakim jest Matejko; albo tej jedyniej niedbałości, u kogoś tak starannie wykończającego swoje roboty. Przypuszczamy, że na podobieństwo Szekspira, całe skupienie swego ducha w dramatyczną wkładając akcją, niewiele dba o dekoracyjne efekta, owszem raczej na bok je odkłada, z obawy rozerwania uwagi, lub osłabienia wrażeń. Ktojednak z tak godną podziwu miłością wypieszcza pędzlem bliższe oku rodzajowe szczegóły, ten już tym samym nie ma prawa mniej kochać dalszą perspektywę. Z tym wszystkiem jestto predylekcja, którą choćby i na karb fantazyi zaliczyć przyszło, wojny o nią być nie może, skoro wrosła już w przekonanie człowieka umiającego obliczać przyczyny i skutki.

Przechodzimy do malowideł treści rodzajowej. Zraz na wstępie spotyka się tu aż trzy obrazy, łączne z sobą wspólnością źródła, z którego czerpały pomysły. Nie pierwsze to w tym rodzaju usiłowanie — tą razą pomyślniejszym nieco niż dotąd uwiecznione skutkiem.

Kurelli *Panicz i dziewczyna*, jest bardzo szczęśliwą ilustracją naiwniej, pełniej prostoty sielanki. Wnosząc z nieudanej łatwości wykonania, sądzićby się godziło, że tu dopiero artysta trafił na właściwą sobie drogę. Rzecz traktowana jest z wielkim smakiem, z niemniejszą także odwagą, ze względu zwłaszcza na ciemne, a raczej półświatłe tło krajobrazu. Na szczęście prostota środków przysła tu w pomoc ducha swobodzie. W tym tajemniczym zmroku, w tych półcieniach, dużo jest prawdy. Wyobraźnia chętnie dorabia tu ciche tchnienia, przez pół ulatujące z wezbranych uczuciem piersi dwojga, a także i ten szelest głuszy leśnej, tak dogodny kochankom do ukrycia pierwszych miłości poszeptów. Ogólnie z obrazka tego czytasz jak na dłoni, że droga o którą panicz tak uparcie pyta, nie gdzieindziej jak do cichego szczęścia prowadzi — tyle tu wszędzie trzeźwej z przekonania prostoty.

O wiele już mniej swobody, a więcej pretensji i szukania stylu, spotykamy wobrazie Streita przedstawiającym *Czaty*, a raczej schadzki kochanków w ogrodowej altanie.

Prawda i to, że zadanie o wiele tu trudniejsze, nie sielanka to już bowiem, ale dramat z zakończeniem krwawym. Nie jesteśmy do tyła pesymistami, żebyśmy koniecznie z najwcześniejszą wiosną życia kobiety wiarołomstwo wiązać mieli; ztąd za dobre nawet poczytujemy artyście, że bohaterce swój odmówił pierwszej młodości powabów; — byłoby tylko do życzenia, żeby jój kochanek nietylko się od niej młodszym wydawał. Zdarzać się to może w rzeczywistości — ale od czegoż poszukiwanie piękna, którego

nie należy zatrzymywać na przypadkowym, choćby prawdopodobnym rozstroju? Podobnie, po wymowie twarzy tej kobiety sądząc, zgodzić się na to wypadnie, że mogła „wszystko sprzedać na wieki” temu, który „tylko trzosem zabrzczał”. Bez wątplenia jestto chwila, w której „ona jeszcze nie słucha”; — ale czy zaraz potem „opuściwszy ramiona” — schyli się w objęcia kochanka? o tym więcej niż wątpić się godzi. Mniemaćby można, że nazbyt wiele namysłu nad efektem głównej na obrazie postaci, wystudziło uczucie artysty, tyle zresztą zkądinąd wymowne; nie można go bowiem odmówić wyrazom twarzy innych téjże sceny działaczy. Podobnie sprawiedliwość oddać należy zewnętrzny malowidła zaletom, szczególnie pewności pędzla i trzeźwości kolorytu. Uznania też jest godną w artyście chęć rozszerzania zakresu swojej działalności; dotąd bowiem znaleźmy go tylko z rodzajowych, nierównie mniejszego znaczenia, jakbądź mających zawsze niepoślednią wartość, obrazków.

Z *Zosia* p. Tegazzo, wkraczamy znowu w sferę miłej zdrowemu sercu sielanki. Uroczą dziewczynką, o wczesnym brzasku letniego dzionka, skrzydlate swoje domowniki karmi w podwórku. Jestto nad wyraz wdzięczny obrazek. Mielibyśmy nieco do zarzucenia nazbyt pobieżnemu wymodelowaniu ręki przetak trzymającej; ale to szczegół drobny z siebie, zwyczajnie słomka w oku bliźniego. Główna rzecz, niewymowny powab téj drobnej, stojącej w pełnym świetle postaci. Jedna to z tych szczęśliwych kreacji, które nietylko wzrok pociągają, ale i z pamięci wyjść nie chcą.

Niemniej wdzięcznym na wejrzenie jest fantazyjne studium p. Lipskiego, przedstawiające małą dziewczynkę. Siadłszy na ziemi, pończoszkę sobie wdziewa i spogląda na widza, a śmieją się jój oczy. Koszulka jój wydaje się raczej tak zwaną barchanką, niżli płótnem z lnianej tkanki; ale taka może była intencja malarza. Trudniej się przyjdzie zgodzić ze skurczem nóżki lewej, której stopa, wyborne zresztą wymodelowana, żadną miarą w tym kierunku bez kalęstwa usprawiedliwić się nie da. Sądzilibyśmy, że dla uniknienia ryzykownych poprawek, najlepšíby może część jój aż poniżej kolana narzucić rąbkiem koszulki, bo i tak już podobno za dużo z tej strony obnażenia. Powabny realizm tego obrazka, zdolny rozweselić niejedną chwilę pochmurną, skłania nas dołączyć nacisk do uwag powyższych; radzielibyśmy bowiem, żeby tyle wdzięczna zkądinąd robota, dla lada drobnostki nie szwankowała.

O ile łagodny spokój cechą jest poprzedniego obrazka, o tyle fantazyja p. Löfflera tą razą całkiem przeciwnego szuka efektu. Mały chłopiec z boleścią patrzy przez okno na towarzyszy wesoło w piłkę grających, podczas gdy babka zmusza go słuchać nudnego z grubiej książki czytania. Pomysł ten po niemiecku ciężki, zaleca się jednak jak zwykle biegłym wykonaniem; — więc tém większa szkoda zachodu. Czém tu usprawiedliwić wybór podobny? témbardziej że i intencja artysty wcale na karb wypadku policzoną być nie może — bowiem i ubiory, i twarze, i całe otoczenie osób, nie ma tu w sobie nic swojskiego.

Z tych samych względów dziwnie nam jest objętym przedmiot obrobiony przez p. Horowitza. Obrazek ten nie bez zalet, ale maniery czysto francuzkiej, przedstawia *Wnętrze szczupłej pracowni* na poddaszu. Malarz, otulony tartanem, na chwilę porzuciwszy pędzle, z wielkim pośpiechem wyjada jajecznicę, którą sobie nastawił na piecyku. Opodał stoi manekin w kapeluszu na głowie, skulony jakby od zimna. Niewątpliwie niebrak tu charakteru miejscowego, ale który raczej ocenionoby w Paryżu. Co do nas, poklasnąć tylko możemy wysokiei biegłości pędzla artysty, znanego już zaszczytnie z wielu poważniejszych względów.

(Dokończenie nastąpi.)

# UROCZA,

POWIEŚĆ

przez T. T. Jeża.

(Dalszy ciąg).

Kupowali więc i sprzedawali; były zyski, były straty; aż w końcu doczekali się tego, że w kieszeniach znów było pusto. Rozpacz ich ogarnęła wielka, ale jeszcze większy wstyd. Schowaliby się pod ziemię, gdyby ziemia dawała schronienie we wnętrzach swoich ludziom żywym. Najbardziej bolało ich to, że postanowili sobie byli, odnosząc pożyczone pieniądze, zanieść dla goimowego synka na talerzu pod czerwoną chustką garść orzechów, makagigę i hamanowe ucho, a nie byli w stanie postanowienia wykonać. Przewyciężyli jednakże wstyd, poszli do goima i stanęli przed nim, smutni, chudzi, niemocy, (zapewne na znak żalu) i obdarci.

— Cóż tedy?.. zapytał goim; odnosicie mi pożyczkę?

A oni, nie mówiąc, wyciągnęli ręce i sprezentowali dłonie.

Goim znów tę niemą wymowę zrozumiał. Znów więc sięgnął do kieszeni, wydobył kaletę i na każdej dłoni położył po dziesięć rubli. I tak powiedział:

— Oto wam pożyczam: jednemu złp. sto trzydzieści trzy groszy dziesięć i drugiemu tyleż. Niech to wam posłuży do zaczepienia rąk. Tylko pamiętajcie, zwróćcie i to i tamto..

Żydkowie temu, coby im był powiedział że tak się stanie, byliby w oczy napluli. Odeszli więc z tak wielką wdzięcznością, że sami się sobie dziwili, jak im od niej serca nie popękały. I płakali i śmieli się. A gdy szabas przyszedł, każdy z nich kupił po pół funta łożówek i wszystkie zaświecili.

I znów się rozeszli, każdy w swoją stronę. I znów rozmyślali co robić?..

Jeden odpowiedział sobie:

— Kupować skórki zajęcze...

Drugi odpowiedział sobie:

— Nie głupim... Na skórkach straciłem. Ano, spróbuję czego innego. Wezmę się do woskobjni.

Znów więc kupowali i sprzedawali i doczekali się tego, że w kieszeniach ich było pusto.

Rozpacz jaka ich tym razem ogarnęła, silniejszą była nad wszelkie opowiadanie, a wstyd tym większy, że postanowili sobie, odnosząc pożyczone pieniądze, do orzechów, makagigi i hamanowego ucha, przeznaczonych dla goimowego synka, dodać jeszcze suszoną gruszkę i obwarzanek. A tu ani dać, ani dodać nie byli w stanie. Ale nie mogli także nie pójść i nie powiedzieć co się stało. Cóż ich pchało do goima. Poszli więc i stanęli przed nim smutniejsi niż przedtem, chudsi, brudniejsi i bardziej obdarci. Stanęli przed goimem i pokłonili się mu jarmułkami do samej ziemi.

A on:

— Cóż tedy? zapytał — odnosicie mi pożyczkę?

Wyciągnięcie czterech rąk i sprezentowanie czterech gołych dłoni, było znów odpowiedzią, o której wymownym znaczeniu nie zapomniał snadź goim, bo nic nie powiedziawszy, ani się skrzywiwszy, sięgnął ręką do kieszeni, wydobył kaletę i na każdej dłoni położył po dziesięć rubli. I tak powiedział:

— Oto wam pożyczam raz ostatni jednemu złotych dwieście i drugiemu tyleż. Niech to wam posłuży do zaczepienia rąk. Tylko pamiętajcie, zwróćcie mi i to i tamto....

I rozeszli się Żydkowie, każdy w swoją stronę i rozmyślali: co robić? co kupować i sprzedawać?..

Jeden znów odpowiedział sobie:

— Skórki zajęcze...

Ten jednakże co handlu woskobjnami próbował, znów odpowiedział sobie:

— Nie głupim... na woskobjnach straciłem... Ano, poprobuję czego innego... Wezmę się do gałganów...

Znów więc kupowali i sprzedawali.

Przypowieść ta kończy się tem, że ten co się do skórek zajęczych przyczepił, stanął przed goimem w racimorowym kaftanie i aksamitnej jarmułce, odniósł mu wszystkie ruble, a dla synka jego nie na talerzu, jak był zamierzył, lecz na srebrnej tacy, pod czerwoną jedwabną chusteczką, przyniósł gościniec, składający się z orzechów, makagigi i hamanowego ucha, ze suszonej gruszki i obwarzanka, z fig i rodzenków; ten zaś co się czepiał i skórek, i woskobjnów, i gałganów, nie przyszedł już więcej. Snadź nie powiodło się mu i nie mógł przewyciężyć wstydu.

— „W tej powieści moralna kryje się nauka.

— Jaka? powiedz mi stary.

— A któż ję [wyszuka?

Dość że jest sens, powiadam.“

Szukajmyż sensu—może szczęśliwi będziemy aniżeli ów „stary“, do którego powyższy wiersz się odnosi. Tym razem obchodzi mnie tylko mój autorski kłopot, tyżący się wynalezienia bohatera. Jak mam sobie postąpić ażeby dojść do celu? Czy tak jak drugi, co skórki zamienił na woskobjny, a woskobjny na gałgany? Mnie się zdaje, że przykład pierwszego bardziej zasługuje na naśladowanie.. Nie powiodło mu się raz i drugi: cóż znaczy niepowodzenie? Nie jest-że to wprawa? nie sąż to koszta, wyłożone na naukę? nie jest-że to doświadczenie, tém ważniejsze, im drożej opłacone? Cóżbym zyskał, gdybym porzucił myśliwych spotkanych na stepie i powłókł się w trzęsawiska, w góry, w lasy, lub gdzie na piaski szukać bohatera? Więc będę się trzymał drogi którą szedł pierwszy Żydek.

Czytelnicy jednakże gotowi pomyśleć, że przypowieść powyższa o dwóch Żydkach i goimie, jest to sobie poprostu bajka, którą z palca wysssałem. Przepraszam. Żydkowie i goim są osobistościami rzeczywistymi. Nie łatwiejszego jak o tém się przekonać, rozpytawszy ludzi w miasteczku, które w powieści naszej nazywać będziemy Kobylanką. Jest to pseudonym, o tém uprzędam, ażeby kto nie poszukiwał daremnie Kobylanki na mapie. Lecz jeżeli komu o to chodziło, chociażby tylko dla zaspokojenia ciekawości, niech się zgłosi do mnie, a gotów jestem udzielić mu jaknajdokładniejszych wiadomości o prawdziwych nazwiskach miejsc i ludzi, występujących w powyższej przypowieści. Żeby zaś ułatwić sprawdzenie na gruncie, dodam jeszcze kilka szczegółów.

Kobylanka jest miasteczkiem, podobnym do wszystkich miasteczek, położonych wkraju zroszonym z jednej strony przez Roś i ję przytoki, z drugiej przez Sob i Tybicę, to jest na płaskowzgórzu ciągnącym się z zachodu ku wschodowi, a dzielącym wody, z których jedne czepiając się Rosi, płyną do Dniepru,

drugie łączą się z pomniejszemi rzeczułkami, zasilającemi koryto Bohu. Płaskowzgórza to nie idzie w linii prostej. Przebiegając się niemi z Machnowki do Zwinogrodki, przejeżdża się w poprzek podniesienie, pochylające się łagodnie w doliny, a należące kolejno to do porzecza dniewowego, to do bohskiego. Chcąc przejechać szczytem, trzeba się kręcić węzłem i pomijać osady, które się dolin trzymają i dla których całkiem obojętną jest rzecz do jakiego należą porzecza.

Dosyć że jest woda, a na niej staw zagrobiony, a na stawie młyn głośno szumiący, a w stawie płotki, okonie i karpie, a nad wodą łąki osoczyste, a nad łąkami orne pola, szerokie, bezbrzeżne, że się na nich oko gubi jak na morzu, zwłaszcza gdy je pokryje złocista pszenica lub blade żyto.

Na tém płaskowzgórzu, na tych pochyłościach leży dużo miasteczek, zawartych w równoległoboku, którego jedna dłuższa ściana dałaby się przeprowadzić przez Lipowiec i Humań, druga przez Skwirę i Bohusław; krótsze zaś jedna przez Machnowkę, druga przez Zwinogrodkę. Lecz wszystkie te miasteczka nie dają dokładnego wyobrażenia o Kobylance.

W porównaniu z tą ostatnią, są to miasta całą gębą; w porównaniu z nią, miastem są nawet Żarniszcz. Nazywa się ona miasteczkiem dlatego tylko, że ma taką minę, której większą nazwać nie można, posiada bowiem kwadratowy pośrodku plac, zwany rynkiem, zabudowany dokoła żydowskimi domami, różnemi kształtem, wielkością i przeznaczeniem. Jedne, wąskie a długie, stojące w szeregu prostopadle do drogi bokiem przez rynek przechodzącej, są domostwami zajezdnymi; prostopadle do nich, a równolegle do drogi, w głębi rynku, ciągnie się szereg sklepików; po drugiej stronie, nad samą drogą, stoją domki zamieszkałe przez rodziny trudniące się jedne rzemiosłami, takimi jak krawiectwo, szewstwo, czapnictwo, inne Bóg wie czém; naprzeciwko domostw zajezdnych, w rzadkim szeregu, widać kilka budowli dużych lecz opuszczonych, których znaczenie trudno odgadnąć. Jeden z dawniejszych właścicieli Kobylanki wznosił je w jakimś celu, ale cel poszedł z nim razem do grobu, a budowle pozostały i zajął czas powoli wziął się do gryzienia ich. Z pozoru sądząc, przypuszczaćby należało, iż miały one być obrócone albo na jakieś fabryki, albo też na składy. Nic jednakże nigdy w nich ani fabrykowano, ani składano i same przez się obróciły się na schronienie w czasie spieki lub słoty dla żydowskich kóz, dla których rynek służył jako miejsce publicznej przechadzki. Była tam jeszcze i bożnica, za którą kryła się policja miejska. Za domem policji, Kobylanka traciła charakter miasteczka. Była to duża wieś, pełna sadów, opłotków, wrót, przejazdów, dysząca całą potęgą wieśniaczego zdrowia, wyglądającego z pod słomianych strzech, z zaopatrzonych w zboże toków, a najbardziej z postaci wieśniaków roślących, czerstwych i zadowolonych. Wieś posiadała cerkiew drewnianą, z trzema wieżami blachą obitymi, wznoszącą się na wzgórzu, z pośrodku bukietu zielonych drzew; posiadała i dwór obszerny, staroświecki, wznoszący się na drugim wzgórzu, z którego widok nie odpowiadał wprawdzie warunkom malowniczości, ale zato był, że tak powiem—gospodarski, bo ogarniał toki, staw, młyn, łąki i duży szmat łąnów, pomiędzy którymi wiła się droga schodząca na groblę i prowadząca przez wieś do miasteczka.

Miasteczko Kobylanka, obok wsi Kobylanki, dziwnie jakoś wyglądało. Były to niby dwa różne światy, zestawione dla kontrastu obok siebie: jeden silny, pewny jutra; drugi patrzący w przyszłość lęklawie, oczami wyrażającymi niedowierzanie.

Owóz w tym mieście, przytulonym do wsi i wpatrzonym w jutro niepewne, w jednym z szeregów opasujących rynek, stało dziesięć domostw zajezdnych, zbudowanych przed sześć, dziesięciu kilku laty. Pokazało się jednakże iż przez ciąg owych sześćdziesięciu kilku lat, na dziesięć tych domostw zajezdnych, trzy za ledwo wyrobiły sobie klientelę jarmarkową, na którą z pewnością rachować mogły. Raz na dwa tygodnie domostwa te napełniały się ludem, a jedno z nich i w ciągu owych dwóch tygodni miało okazję do sprzedania kilkunastu wiązek siana, kilku garncy owsa, a nawet niekiedy paru okłotów na podściółki w stajni, jeżeli zajechał podróżny dbały o wygodę koni...

To też cztery te domostwa były zajezdniemi tylko nominalnie. Sam chyba diabeł, umiający otwierać sobie wnijście przez dziurkę od klucza, potrafiłby do nich zajechać; wrota ich bowiem wjazdowe wcale się nie otwierały, z powodu zawiasów, które rdza pozjadała i miejsce których zajęły podpory, czyniąc z wrót rodzaj szalowania na głucho przybitego. Jedno z nich przecież otwierało niekiedy gościinne wrota dla podróżników zmuszonych w Kobylance popasać lub nocować. Był to przywilej ślepego losu, którego niepodobna racjonalnie wytłumaczyć. Domostwo wybrane nie leżało nad samą drogą i przed sześćdziesięciu kilku laty, kiedy poprzednik dziedzica Kobylanki stworzył pod wsią miasteczko i pobudował szereg sklepików i szereg domów zajezdnych, niczem nie różniło się od innych. Podróżni wszakże upodobali je sobie i to sprawili, że z czasem inne podupadły, a ono się podniosło i zajaśniało, jak brylant w kupie śmiecia.

Niechże łaskawy czytelnik raczy ostatnie to porównanie zachować sobie w życzliwej pamięci. Nie trzeba go tylko brać w ścisłe literalnym znaczeniu. Domostwu o którym mowa daleko było do brylanta, pomimo że je jaknajrzeczywistsze kupy śmiecia otaczały, ale blyszczało w nim coś, o czem później powiem; a tymczasem muszę w krótkości wspomnieć o kolejach jakie przebywało.

Dostało się ono Ickowi, zwanemu „z Kobylanki,” i stało się dla niego tym, czem jest los wygrany na loteryi. Wraz z nabyciem tego domostwa, wszystko mu się wieść poczęło — wszystko, to jest mnożyły mu się pieniądze i dzieci, nie w stosunkowej jednakże proporcji, Wytłumaczę to cyframi. W przeciągu lat trzech, ze stu w kalecie zrobiło mu się sto pięćdziesiąt; w przeciągu lat trzech z niczego urodziło mu się troje dzieci. W przeciągu drugich lat trzech, ze stu pięćdziesięciu zrobiło mu się dwieście dwadzieścia pięć; w tymże samym czasie do trojga dzieci przybyło jeszcze troje. Rósł kapitał i przybywało dzieci, których się narodziło dwadzieścioro dwoje. A kiedy przychodziło na świat siedemnaste, najstarsza córka brała ślub na śmieciisku; w rok później Ickowi równocześnie Bóg dał syna i wnuka, a w dodatku trzeba było nowe sprawić wesele. Jeszcze w rok później równocześnie powitały ten świat córka i dwoje wnucząt. Tak szło crescendo i doszło do tego, że Ickowa przestała wprawdzie wydawać na świat

dzieci, lecz zato jej córki i synowe poszły między sobą na wyścigi. Zdarzyło się raz w jednym tygodniu dziesięciuro urodzin pod dachem szczęśliwego domostwa.

Icek był szczęśliwy — dziękował Bogu i... w głowę się skrobał. Spoważniał, jak najważniejszy senator, jak patriarchy; bo też rzeczywiście był patriarchy rodem, który rósł w liczbę i końca temu nie było. Biała broda spadała mu prawie do pasa, z pod jarmułka po skroniach spływały jak śnieg białe pejsy. Domostwo mrowiło się synami i synowami, córkami, zięciami i wnuczętami. Wszystko to otaczało starca, bo Icek nie chciał pozwolić, ażeby go dzieci opuszczały.

— Opuszczę ich ja, jak mnie wyniosą na okopisko... — powiadał, gdy go uważnym czyniono na to, że takie liczne potomstwo trzyma przy sobie — i niech potem robią co zechcą; ale póki żyję, póty wszystko co moje, niech będzie u mnie...

Wszystko też było u niego na kupie, jak śledzie. Domostwo rozwiązywało niemożliwe do rozwiązania zadanie, podobne np. do pomieszczenia dwóch kwart plynu w kwartowym naczyniu. Jak to się wszystko w trzech izbach mieściło, z których jedna była gościinną? niech czytelnik sam sobie tę zagadkę rozwiązuje, zagadkę, która zresztą do mnie nie należy, a to z tego powodu, że rzecz o Icku i jego rodzinie weszła do powieści niniejszej epizodycznie.

Icek obchodzi powieść naszą, ale bynajmniej nie jako człowiek żywy. Powiniennem był tylko przedstawić go czytelnikom na śmiertelnym łożu, w chwili skonania, kiedy ciszą stanęło około niego całe potomstwo i ze skruczą słuchało ostatnich jego wyrazów, gasnącym wymawianych głosem. Mówił o Abrahamie i Jakubie, siedzących obok Jehowy i czekających na pośpieszającego do nich wędrowca. Mówił coraz słabiej i ciszej, a gdy zamilkł, natychmiast dzieci i wnuki uderzyły w wielki lament. Synowie i zięciowie za włosy się szarpali; synowie i córki odzież na sobie targały.

Wielkim i szczerym był smutek rodziny Icka, bo wielkie też na nią spadło nieszczęście. Trzymała się kupy dlatego tylko, że w kupę wiązał ją Icek. Był on kozłem w stadzie, pasterzem trzody, patriarchy, którego wszyscy szanowali, wszyscy — Żydzi i chrześcijanie — tak starzec umiał się postawić. Znano go w całej okolicy i ceniono do tego stopnia, że w zatargach pomiędzy szlachcicami a Żydami odwoływano się do jego sądu, jako do sądu człowieka sprawiedliwego. Zaszczycem było być jego zięciem lub synem. Ten tedy kozioł, ten pasterz, ten patriarchy, ten człowiek sprawiedliwy zgasł jak lampa, gdy w niej oleju zabraknie.

Zgasł jak lampa, nie domówiwszy nawet tego co zaczął o wędrowcu narodu żydowskiego. Położyli go na ziemi, owinęli w prześcieradła, przywiązali na marach i pobiegli z nim na okopisko. Zwłoki jego odprowadziło całe miasteczko z krzykiem i lamentem, który świadczył o powszechnej miłości, jaką sobie nieboszczyk umiał zjednać. Dla dzieci i wnucząt Icka rozpoczęła się żałoba, która trwała dni dziewięć. Na gołej ziemi, posypani popiołem, nie czesząc się ani myjąc, ale zato płacząc i rozmyślając, przesiadzieli synowie jego i córki, zięciowie i synowe, wnuki i wnuczki, a gdy po dniach dziewięciu wstali, znaleźli się jak stado bez

kozła, jak trzoda bez pasterza. W dniach żałoby duch starca gościł jeszcze pomiędzy nimi; gdy ta jednakże przeminęła, nastąpiło dla nich prawdziwe sieroctwo.

A było ich sporo: trzynastu synów i dziewięć córek, trzynaście synowych i ośmiu zięciów. Najmłodsza córka nie była jeszcze wydana, co stanowiło troskę, którą starzec poniósł do grobu. Liczby wnucząt nie podaję, dlatego jedynie, ażeby nie narazić się na zarzut przesady i dlatego jeszcze, że sam nie jestem pewny, o ile ona okrągłą cyfrę stu pięćdziesięciu przekraczała. Dość powiedzieć że było tego mnóstwo. Gdyby naród żydowski mnożył się w takiej proporcji, jak Ickowa rodzina, to byłoby Żydów na ziemi, w przeciągu paru set lat, więcej aniżeli wszystkich innych ludzi.

Ta mnogość potomstwa była wprawdzie błogosławieństwem Bożem, lecz po śmierci Icka stała się na chwilę powodem wielkiego zamieszania. Kupa się rozprzegła. Każdy z synów i każdy z zięciów chciał stanąć jako głowa osobnej rodziny; każdy miał do tego niezaprzeczone prawo; każdy przeto zabierał się odejść na stronę, lecz nie z próżnymi rękami. Trzeba więc było podzielić się pozostałością.

O nieboszczyku Icku chodziła wieść, jakoby niezmiernie był bogaty. Mniemanie to podzielało i jego potomstwo. Nieboszczyk posiadał pod łożkiem skrzynię, od której klucz nosił przy sobie. Co ta skrzynia zawierała? — nikt nie wiedział — każdy więc przypuszczał, iż muszą być w niej skarby niezliczone. Po śmierci przeto jego i synowe i córki, i synowie i zięciowie, i niektórzy nawet z wnuków pomyśleli o skrzyni.

— Co z nią robić?..

— Najprzód trzeba otworzyć... rzekł najstarszy z rodziny.

— A potem?..

— Nu... podzielimy się...

— Po równej części... podchwycił mąż tej, co ostania została wydana.

Mąż tej co wydana została najpierwsza, cmochnął z przyciskiem i odparł, że podział powinien być w stosunku do ilości dzieci. Nawiasem powiem, iż był on ojcem licznego potomstwa. Ci przeto co w równym z nim znajdowali się położeniu, stanęli po jego stronie. I sformowały się dwa stronnictwa, i zrobił się krzyk, w którym jednego słowa nie można było zrozumieć. Aż się wmieszali ludzie obcy i sprowadzili rabina, który przyszedł i rzekł:

— Sza!

I uciszyło się.

— O co wam chodzi?..

Czterdziestu dwoje ust naraz odpowiedziało; niedziw więc, że rabin znów nic nie rozumiał.

Jedne tylko usta nie otworzyły się, a były to usta najmłodszej z rodzeństwa, Chai, tej której nieboszczyk Icko nie zdążył wydać za mąż za życia. Więc wysłuchawszy cierpliwie wrzawy, jeszcze raz rzekł:

— Sza!..

I zwracając się do Chai, zapytał:

— Ty mi powiedz, o co tu chodzi?..

Zapytana mocno się zasromała i odrzekła:

— O skrzynię...

Odpowiedź jej pokryła wrzawa, którą rabin musiał znów powściągnąć.

(Dalszy ciąg nastąpi).